Bydg... ...ązkowy
B...TEKA
...S
LUBLIN

● BERNARD MARGUERITTE — SPECJALNIE DLA „RELACJI" ● GORĄCE WILNO ● EUROPEJCZYK W GANDAWIE ● ZAPISKI BRYTYJSKIE ● CHŁOP NIŻEJ CHŁOPA NIE SPADNIE ● AFERZYSTA: KONSUL GACIANO

TYGODNIK WSCHODNI

PL ISSN 0660-8830

relacje

LUBLIN, 6 - 12 VII 1989 R. NR 25 CENA 70 ZŁ

GORĄCE WILNO

DWIE KOBIETY

Henryk Makarski

KRÓLESTWO pierwszej pełne blasku jest. Jest jedna w kilkuset wcieleniach o zgrabnych nogach, smukłych sylwetkach, nienagannym sposobie bycia i ogładzie falującej dziewczęcym wdziękiem, kobiecą elegancją i pełną kontrolowanej radości nadzieją na...

Do wyborów królowej książącego Wilna zabierano się nieśmiało, ostrożnie, nie nazywając rzeczy po imieniu. Ot, koncert-konkurs, recital takich sław jak Virgilijus Noreika, dyrektor i solista wileńskiego Teatru Opery i Baletu, czy popularna estońska śpiewaczka Anna Vesky, a „przy okazji" — wybór najpiękniejszej.

Spośród tysiąca krasawic (dominowały wileńskie studentki i uczennice klas maturalnych) do finału dopuszczono trzynaście. Ogromny pałac sportu nie mógł pomieścić tłumu chętnych do obejrzenia czegoś, co jak Wilno Wilnem, nigdy w tym sennym mieście zdarzyć się nie miało prawa. Przecie już Józef Czechowicz pisał: „noc — to koło — w ciszy niebieskiej wełnie / wilno kościelne śpi / białe jak gołąb..."

Sławny Noreika śpiewał „Pieśni Syren", a dziewczyny „robiły" za tytułowe syreny, ścieląc się powabnym aksamitnym tłem pod monumentalny głos solisty. A potem odpowiadały na pytania jurorów w języku litewskim, rosyjskim i polskim, co zaświadczało o demokratycznych szansach na koronę, bez względu na dominacje i aspiracje narodowościowe na innych — niż ta — arenach. A jeszcze później feeria wieczorowych toalet i kostiumów kąpielowych, zaprojektowanych przez nie same, zgodnie z regulaminem konkursu. Jeszcze tylko taniec, sposób bycia, test na inteligencję...

Koronę w roku ubiegłym nałożono na uroczą blondgłówkę 17-letniej Ingridy Mikelionyte, wysokiej (172 cm) maszynistki i zarazem wieczorowej maturzystki, córki bibliotekarki i mleczarza, jak przystało na królową z ludu, demokratkę, „Piękną Wilniankę-88", a nie — broń Boże — jakąś Miss. Nagrodą był nie żaden tam zachodni samochód, ale skromna wycieczka zagraniczna.

W tym roku najpiękniejszą z oficjalnym już tytułem Miss została 18-letnia modelka z Wilna, Łucja Gruzdite, zdobywczyni korony oraz wysokiej nagrody pieniężnej, wyjazdu do Kanady i prywatnych podarunków, przekazanych przez obecne na konkursie królowe piękności Polski, Norwegii i Finlandii. Tak, królestwo pierwszej kobiety Wilna pełne blasku jest...

Dokończenie na str. 4—5

LONDON CITY ALDWYCH STREET

STR. 6-7

Fot. Andrzej W. Pawluczuk

relacje ZE ŚWIATA

● Michaił Gorbaczow odwiedził oba państwa niemieckie. W NRD podzielił się wrażeniami z wizyty w Bonn. Przywódcy kapitalistycznych i socjalistycznych Niemiec wysoko ocenili swoje rozmowy z Gorbaczowem, a także ich znaczenie dla pomyślnego rozwoju stosunków wewnątrzniemieckich oraz radziecko-niemieckich.

● Podróż kanclerza RFN, Helmuta Kohla do Polski „pozostaje sprawą otwartą" — stwierdził doradca kanclerza ds. polityki zagranicznej, Horst Teltschnik w wywiadzie dla agencji DPA.

● Trzysta tysięcy osób uczestniczyło w corocznym zlocie ziomkostwa Ślązaków w Hanowerze. Przybyli przedstawiciele urzędu kanclerskiego.

● Rokrocznie emigruje do RFN z terenu Górnego Śląska kilkanaście tysięcy obywateli polskich.

● Trwają rokowania węgierskiego „okrągłego stołu". Uczestniczą przedstawiciele Węgierskiej Socjalistycznej Partii Robotniczej, przywódcy partii opozycyjnych, organizacji związkowych i społecznych. Coraz bardziej realna staje się perspektywa w pełni demokratycznych wyborów do węgierskiego parlamentu.

● „Demonstracją faszystowską" nazwała rumuńska prasa uroczystości pogrzebowe Imre Nagya i jego towarzyszy straconych w 1956 roku. Oficjalny organ KRLD — „Rodong Sinmun" — określił to wydarzenie mianem „pogrzebu socjalizmu".

● Po Armenii, Azerbejdżanie, Gruzji, Uzbekistanie, do masowych rozruchów na tle narodowościowym doszło w Kazachstanie. Wprowadzono godzinę milicyjną.

● W Związku Radzieckim żyje ponad 100 narodowości, z których dwadzieścia dwie (każda z nich) liczą ponad milion osób.

● W wypowiedzi przed kamerami telewizyjnymi Michaił Gorbaczow stwierdził, że problemy narodowościowe będą miały decydujący wpływ na przyszłość pieriestrojki.

● Trwają „dobrowolne wyjazdy" obywateli bułgarskich do Turcji. Prezydent Kenan Evren oświadczył, że Turcja jest gotowa przyjąć półtora miliona bułgarskich Turków.

● Plac Niebiańskiego Spokoju został otwarty dla ludności.

● 27 Armia, która dokonała masakry studentów pekińskich, składa się z Ujgurów, mniejszości narodowej nie znającej języka chińskiego. Ujgurowie żyją w chińskim Turkiestanie.

● „Nie mogę w szczegółach ocenić tego, co wydarzyło się w Polsce — powiedział Witalij Korotycz, naczelny redaktor tygodnika „Ogoniok" w wywiadzie dla „Polityki". — Ale widać, że trwająca osiem lat walka z »Solidarnością« skończyła się tym, że wróciliście do miejsca startu".

● Jugosławia wywiązuje się terminowo ze swych zobowiązań wynikających z obsługi długu zagranicznego.

● W pierwszych pięciu miesiącach tego roku w Jugosławii wybuchło 708 strajków na tle ekonomicznym.

● Skomplikowana sytuacja polityczna powstała w Grecji po wyborach parlamentarnych zakończonych porażką socjalistycznej partii PASOK. Koalicyjny gabinet sformowano na czas trzech miesięcy, celem — jak się to określa — oczyszczenia aparatu państwowego ze skorumpowanych urzędników. Wymienia się wśród nich dotychczasowego premiera, Andreasa Papandreu.

● George Bush zapowiedział zaproponowanie poprawki do konstytucji, zakazującej bezczeszczenia flagi państwowej. Była to reakcja na decyzję Sądu Najwyższego USA, zezwalającą na profanowanie flagi w imię wolności wyrażnia poglądów. Palenie flagi amerykańskiej było jednym ze sposobów wyrażania protestu przeciwko wojnie wietnamskiej.

● Francuski program pomocy gospodarczej dla Polski przewiduje m.in. zawieszenie na cztery lata spłaty części naszego zadłużenia wobec Francji (1,1 mld dol.) oraz przyznanie doraźnego kredytu w wysokości 650 mln franków.

relacje Z KRAJU

● Wojciech Jaruzelski zrezygnował z kandydowania na urząd prezydenta Polski. Wysunął kandydaturę gen. Czesława Kiszczaka. Komitet Centralny PZPR zwrócił się do I sekretarza KC o ponowne rozważenie tej decyzji.

● Prof. Bronisław Geremek w wypowiedzi dla TV stwierdził iż Lech Wałęsa jest potencjalnym kandydatem opozycji na urząd prezydenta. Jednakże — jak powiedział — konieczność ewolucyjnych zmian polskiego systemu politycznego sprawia, że opozycja nie zamierza wysuwać swojego kandydata.

● Zmarła wielka aktorka polska Halina Mikołajska.

● Kościół katolicki w Polsce uzyskał osobowość prawną.

● Premier Mieczysław Rakowski spotkał się z metropolitą wrocławskim, Henrykiem Gulbinowiczem.

● We Wrocławiu spotkali się premierzy Czechosłowacji, NRD i Polski. Podpisano umowę o ochronie środowiska.

● Rokrocznie tysiące ton ścieków wpływa do Odry, największego bodaj kanału ściekowego Europy. „Kwaśne deszcze" praktycznie zniszczyły lasy Gór Izerskich i Karkonoszy. Dolny i Górny Śląsk są uznawane przez ekspertów za rejon o jednym z największych stopni skażenia środowiska naturalnego na świecie.

● „Rząd nie odgrywa się za wyniki wyborów" — oświadczył Zbysław Rykowski, zastępca rzecznika prasowego rządu.

● Wzrosły znacznie ceny urzędowe i umowne wielu artykułów. O kilkadziesiąt procent podrożały m.in.: pralki, lodówki, papierosy, cukier, alkohol, benzyna.

● Rząd podjął decyzję o zamrożeniu na jeden miesiąc cen i płac. Zamrożenie nie obejmuje czerwcowych podwyżek.

● Powstała Grupa Inicjatywna Stowarzyszenia Społeczno-Kulturalnego Mniejszości Niemieckiej na Śląsku Opolskim.

● W związku z wyborem Jianga Zemina na sekretarza generalnego KC Komunistycznej Partii Chin, I sekretarz KC PZPR, Wojciech Jaruzelski, wystosował telegram gratulacyjny.

● Badania CBOS z marca 1987 wykazały, że 31,8 proc. Polaków negatywnie ocenia pracę milicji. Tylko 3 proc. badanych życzliwie wypowiedziało się o stróżach porządku publicznego.

● Według stanu z końca kwietnia br. dochody budżetu państwa wyniosły 3836 mld zł, a wydatki 6406 mld zł.

● Oblicza się, że w rękach całej Polonii znajduje się 200 mld dolarów.

● Według danych z 1987 roku blisko 11 procent mieszkańców miast (ok. 2 mln osób) nie korzystało z wodociągów komunalnych. 36 miast w ogóle nie miało wodociągów. Co czwarte miasto odczuwało kłopoty z wodą, w tym 22 miasta tzw. wojewódzkie.

● Znany polski aktor, mieszkający na stałe we Francji, Eugeniusz Priwieziencew, stwierdził w wywiadzie dla „Przeglądu Tygodniowego", że na Zachodzie nikt nie interesuje się polskim filmem. „»Krótki film o zabijaniu«, nagrodzony na festiwalach, w ogóle nie podobał się publiczności. Nikt nie chce już patrzeć na brud, smród i ubóstwo, których pełno w polskich filmach".

relacje Z REGIONU

● Odbyło się spotkanie „lubelskiego okrągłego stołu" z udziałem posłów i senatorów-elektów województwa lubelskiego.

● W czasie wiecu Konfederacji Polski Niepodległej na pl. Litewskim w Lublinie interweniowała milicja. Zatrzymano kilkanaście osób, w tym szefa KPN — Leszka Moczulskiego i Dariusza Wójcika, członka Rady Politycznej KPN.

● Po zwycięstwie nad Pogonią 2:0 w Lublinie, Motor awansował do ekstraklasy.

● W lubelskiej Akademii Rolniczej odbyło się zebranie założycielskie Fundacji im. Wincentego Witosa.

● W Kazimierzu Dolnym zakończył się doroczny Festiwal Kapel i Śpiewaków Ludowych, jedna z najciekawszych i najładniejszych imprez folklorystycznych w kraju. Uczestniczyło 1200 wykonawców, zjechało wielu gości z zagranicy. Nie wiadomo ile zarobi na imprezie jedno z najbogatszych miast dawnej Rzeczypospolitej.

● Blisko połowa kiosków „Ruchu" w regionie jest stale nieczynna. Podstawowy powód: marne zarobki kioskarzy.

● Za kilogram jagód płacono w punktach skupu równowartość jednego dolara.

● Uruchomiono linię autobusową Lublin — Brześć. Cena biletu: 1800 złotych.

● Według nowych cen przejazd taksówką z Dworca Głównego PKP na Dworzec Główny PKS i z powrotem kosztuje 1800 złotych. Taksówkarze dawno już przestali przerabiać taksometry.

● Z zagadnień ekologicznych: Woda mineralna ze źródeł nałęczowskich musi być poddawana chlorowaniu. Bystrzyca wypływająca z Lublina ma zerową zawartość tlenu. Czechówka znajduje się poza wszelką klasyfikacją czystości. Woda z Bystrzycy przekracza dwudziestokrotnie normę zanieczyszczenia. Poza tym, mamy podobno nadal jedną z najlepszych ustaw ekologicznych na świecie.

● Radni Wojewódzkiej Rady Narodowej w Chełmie podjęli decyzję o likwidacji Inspekcji Robotniczo-Chłopskiej. Liczbę osób zatrudnionych w różnych organach kontrolnych szacuje się w Polsce na 400 tysięcy.

KIEDY pewnego czerwcowego poranka 1979 roku zmuszony byłem obudzić sfrustrowanych urzędników imigracyjnych za granicy zachodnioniemiecko-holenderskiej, by formalnie wkroczyć do „kraju tulipanów", zetknąłem się zapewne po raz pierwszy z wizją Europy Zjednoczonej, bez słupów granicznych i barier celnych. Wokół śmigali na rowerach Holendrzy w tę i tamtą stronę, do domu powracali też niemieccy bauerzy po sobotniej wizycie w niderlandzkich tawernach. (Piwo „Heineken" to jest to). Duch porozumienia helsińskiego panował nad kontynentem.

Od tamtej pory wiele się zmieniło. Cykliści i bauerzy jeszcze swobodniej przemieszczają się tu i tam, na nas — Polaków czekają za to czujne i niechętne służby paszportowe i celne. Integracja połowy Europy staje się faktem, podczas gdy druga jej część coraz bardziej oddala się od „wspólnego domu", przegrodzona łuką cywilizacyjną, ekonomiczną i technologiczną.

Na 1992 rok zaprojektowano narodziny Zjednoczonych Stanów Europy. To, że wśród nich nie będzie nas, nie jest już dla nikogo tajemnicą. Czy wszakże wizja „trzeciej siły", jednego, ogromnego, wspólnego rynku nie jest jedynie pobożnym życzeniem zażartych „europeistów"?

Niektórzy publicyści i politolodzy amerykańscy (zawsze mieli kłopoty z pełnym rozpoznaniem europejskiej sceny politycznej) zaczynają bić na alarm. Głoszą koniec „Jałty", powstanie „europejskiej fortecy", załamanie układu sił, który — jak dotąd — skutecznie regulował od pół wieku pokojowe współistnienie świata. Wydaje się, że obawy te są mocno przesadzone, choć z pewnością jesteśmy świadkami gromadzenia się politycznych faktów, noszących zalążek całkiem nowej rzeczywistości.

Coraz bardziej wyraźne staje się kształtowanie kolejnej międzyepoki, której przyszłości nikt nie jest w stanie przewidzieć. (Jak dotąd, wszystkie międzyepoki kończyły się w Europie tragedią). Zachodnia część kontynentu na pewno scali się w jeden organizm, choć proces ten może być dłuższy, niż to się oficjalnie zakłada i nie pozbawiony całkiem nieoczekiwanych zwrotów. Bowiem — wbrew pozorom — procesy unifikacyjne napotykają zaciekły opór wśród różnych warstw społeczeństw przyszłej unii.

GARDZIENICE to duża wieś rozłożona malowniczo na stokach. Zanim zapada zmierzch, wszyscy zbieramy się w drewnianej, wiekowej chacie. Gospodarze częstują herbatą, a my na ganku, na schodkach i wokół chaty gwarzymy swobodnie w niewielkich grupkach. Od czasu do czasu wpada mi w ucho cudzoziemskie słowo, angielskie lub francuskie.

Kiedy nad horyzontem pojawia się czerwona kula księżyca (a jest akurat pełnia), zapraszają nas do izby. Siadamy na podłodze, gdzieniegdzie migocą świece. Włodzimierz Staniewski, założyciel i kierownik Stowarzyszenia Teatralnego „Gardzienice" mówi pokrótce o sensie istnienia teatru, który nie chce być wyłącznie sztuką, ale integralnym elementem naturalnego porządku życia.

Nie jesteśmy bowiem w zwykłej, wiejskiej chacie. Uczestniczymy w spotkaniu, które nazywa się „Zgromadzenie", a które nas, ludzi spoza teatru, przygotować ma do uczestniczenia w przedstawieniu „Żywota protopopa Awwakuma". I słuchając Staniewskiego zaczynam rozumieć, że ta prześna i jednocześnie romantyczna sceneria — chata z ułomnym gankiem, proste ławy, ziółko w obejściu i księżyc, wielki i czerwony jak piekielne słońce z obrazu Boscha — że to wszystko nie jest przypadkowe, ale jest celowym zamierzeniem reżyserskim. Również slajdy, które oglądamy na krzywej ścianie i towarzyszący im śpiew — najpierw w wykonaniu zespołu, a potem z taśmy, obrzędowy śpiew chrześcijańskiego prawosławia, to także nie tradycyjny teatr, ale coś, co przeniesiono prosto z autentycznego życia.

Ze swobodnego i luźnego spotkania towarzyskiego nasze zgromadzenie przemienia się stopniowo w jakiś dziwny obrządek. Dziwny, ponieważ nie umiemy nic konkretnego o nim powiedzieć, chociaż wszyscy czujemy i wiemy, że uczestniczymy w czymś podniosłym. I nagle zaczynamy mówić

ŚWIAT WOKÓŁ NAS

Wiele ośrodków politycznych i gospodarczych po prostu boi się roku 1992. To prawda, że funkcjonuje już wspólny parlament, wspólne gremia decydenckie, wspólne instytucje i spółki z mieszanym, wewnątrzeuropejskim kapitałem. Ale także faktem jest, że brakuje koncepcji wspólnego systemu podatkowego, bankowego, walutowego. Coraz większa grupa wspólnorynkowych partnerów handlowych i miliony zwykłych obywateli podziela przekonanie, że europejski rynek zrewolucjonizuje kontynent, ale ujawni zarazem tak zwycięzców, jak i przegranych.

Francuski premier Michel Rocard powiedział niedawno, że zharmonizowanie europejskich ceł konsumpcyjnych — co stanowi podstawowy element utworzenia jednolitego rynku — „spauperyzuje państwo francuskie". Karl Otto Pohl, prezydent potężnego zachodnioniemieckiego banku Bundesbank, jest otwarcie przeciwny utworzeniu Centralnego Banku Europejskiego. Amerykańscy inwestorzy, obawiając się wzrostu europejskiego protekcjonizmu, zaczynają grozić wycofaniem swych kapitałów.

Protesty natury globalnej znajdują także odbicie w obawach partykularnych. Niemieccy kierowcy ciężarówek planują serie akcji strajkowych, sądząc, iż regulacja ich skutecznie strzeżonego dotąd „przemysłu" zaowocuje utratą dziesięciu tysięcy miejsc pracy. Związkowcy wszystkich branż wietrzą powstanie „Europy przemysłowców", w której europejskie prawo o przedsiębiorstwach stworzy warunki dla arbitralnych decyzji pracodawców. Duńscy ekolodzy martwią się, że ich surowe przepisy o ochronie środowiska zostaną zaniżone do powszechnie obowiązujących europejskich standardów. Anglicy, zwariowani na punkcie zwierząt, drżą na myśl o imporcie chorób weterynaryjnych z kontynentu na Wyspę.

Wszystkie te zastrzeżenia, choćby nawet trywialne w detalach, obrazują wciąż aktualne rozdarcie Europy i wielopłaszczyznowe sprzeczności interesów. Niewątpliwie kluczowym zagadnieniem, decydującym o powodzeniu całego przedsięwzięcia, pozostanie kwestia walutowa i celna.

Anglicy i Francuzi, wciąż tak często różniący się w sprawach Europy, w tym temacie są całkowicie zgodni. Głównym powodem, dla którego Wielka Brytania sprzeciwia się ujednoliconym podatkom od wartości, jest fakt, iż żywność, książki i ubrania dziecięce, stanowiące około 30 proc. brytyjskiego handlu detalicznego, musiałyby zostać opodatkowane. Irlandia i Dania czerpią dużą część swych dochodów z ceł niebezpośrednich, nie są więc zainteresowane ich unifikacją. Anglicy i Duńczycy nalegają także na utrzymanie wysokich ceł na papierosy i alkohol, podczas gdy Grecja, Włochy i Hiszpania pragną utrzymać cła na te produkty na niskim poziomie, by zadowolić posiadaczy winnic i szerokie rzesze konsumentów. (Dla przykładu ceny paczki papierosów „Marlboro" kształtowały się w dolarach następująco: Dania — 3,62; Wielka Brytania — 2,61; RFN — 2,14; Włochy — 1,98; Holandia — 1,77; Francja — 1,57; Hiszpania — 1,48. I analogicznie ceny butelki whisky: Dania — 20,17; Holandia — 16,09; Wielka Brytania — 15,86; Francja — 12,75; FRN — 19,15; Hiszpania — 9,79; Włochy — 6,32).

Podobne trudności i zastrzeżenia można by mnożyć w nieskończoność. O wiele poważniejszym wszakże problemem wydaje się brak jedności politycznej wśród liderów poszczególnych państw przyszłych USE (United States of Europe). Głoszone przez nich koncepcje „odrębności narodowych w ramach międzynarodowej wspólnoty" brzmią tyleż enigmatycznie, co nieprzekonująco. Wielką, nieodgadnioną zagadką pozostaje przy tym — mimo pozornej jasności formalnych deklaracji — sprawa przyszłości Niemiec. Republika Federalna z uporem i przekonaniem akcentuje własną wizję wspólnoty, w której sterowana przez Hansa-Dietricha Genschera „Ost Politik" zajmuje szczególne miejsce. (Niemiecka „odrębność" znalazła ostatnio wyraz w wewnątrznatowskim sporze o modernizację rakiet średniego zasięgu oraz w szczególnie intensywnych kontaktach politycznych między Bonn a Moskwą. Przykładem tego niedawna wizyty Michaiła Gorbaczowa w RFN czy ubiegłoroczna wizyta kanclerza Kohla w ZSRR).

Słuchając zachodnioniemieckich polityków nie sposób oprzeć się wrażeniu, iż pragnęliby oni — przynajmniej w dalszej perspektywie rozciągnąć europejską wspólnotę także na kraje Europy Środkowej i Wschodniej, włączając w to europejską część Związku Radzieckiego. Idea taka jest paralelna do gorbaczowowskiej wizji „wspólnego europejskiego domu".

Tymczasem sprzeczności we wschodniej części kontynentu — nierównomierne zaawansowanie procesów reform w krajach socjalistycznych, a nawet zupełny ich brak — czynią europejską mozaikę jeszcze bardziej zróżnicowaną, a wizję zjednoczenia odsuwają w daleką, nie dającą się określić przyszłość. A jednak pewne symptomy, dozwalające i w tym względzie na umiarkowany optymizm, już się pojawiły. Naturalny zwrot globalnej polityki w kierunku osi dalekowschodniej oraz rosnąca licytacja na światowych rynkach ekonomicznych stwarzają przed Europą unikalną szansę. Nie da się jej jednak wykorzystać bez rozwiązania problemu dwu państw (a nawet — jak twierdzą niektórzy — już dwóch narodów) niemieckich — bez zasypania dołu, dosłownie przecinającego kontynent na dwie części.

Zagadnienie to stanowi oczywiście temat na oddzielne opowiadanie. Koncepcje i przewidywania są tutaj różne. Prezydent RFN, Richard von Weizäcker (na przykład) wydaje się optować za swoistą ideą federalistyczną, Hans-Dietrich Genscher skłania się ku stopniowej integracji ekonomicznej przy zachowaniu odrębności politycznych, Michaił Gorbaczow i George Bush, tymczasem, trwają przy obowiązującym status quo, strona wschodnioniemiecka milczy.

Nie ulega jednak wątpliwości, że problem ewentualnego zjednoczenia Niemiec wytworzyłby w Europie i na świecie zupełnie nowy jakościowo układ. Polska nie mogłaby pozostać wobec niego obojętna. Czy zatem choćby ten dylemat nie powinien skłonić nas do refleksji, jak daleką drogę musi jeszcze przebyć świat, by — przynajmniej w kwestii Europy — wypracować nowe polityczne wartości? Patrząc chłodnym okiem na perspektywy formalnej nawet reorganizacji światowych stosunków, nie możemy nie uświadamiać sobie, jak wiele w owych początkach międzyepoki zależy od nas, od tego, co wydarzy się w naszym kraju.

Dyplomatyczne ożywienie ostatnich miesięcy wokół Polski nie jest przypadkiem ani kaprysem, bowiem przypadki i kaprysy rzadko przydarzają się politykom (jeśli w ogóle). Wielu spośród nas, poirytowanych i nieufnych choćby wobec twierdzeń o „niepokoju światowych przywódców" w odniesieniu do Polski, powinno z większą dozą realizmu przyjrzeć się niektórym hurraoptymistycznym wizjom Europy ewolucyjnie dryfującej ku szczęściu, dobrobytowi i nowej, wielkiej szansie dyrygowania w przyszłości sprawami świata. Nasz kontynent — i to paradoksalnie: tak na Wschodzie, jak i na Zachodzie — kroczy, jak to ujmują Anglicy, po nader „cienkim lodzie". Ewentualności znalezienia się w zimnej przerębli zapobiec może jedynie umiar i poczucie dziejowej odpowiedzialności. Dobrze, że przynajmniej w tym względzie Europa wydaje się bliższa jedności niż konfrontacji.

ZJEDNOCZONA EUROPA: JAK TO WIDZĄ TAM

Wiesław Horabik

TEATR JAK STARA BAŚŃ

Andrzej W. Pawluczuk

szeptem, nikt nie zapala nowego papierosa, nikt nie zmienia miejsca, chociaż od siedzenia na podłodze cierpną nogi.

Potem wychodzimy na dwór, gęsiego. Najpierw schodzimy z łagodnego stoku i, przez mostek, mijamy niewielki strumyk, wychodząc na dużą i pustą przestrzeń. To łąka, ciągnąca się hen, daleko, otulona lekką mgiełką i bladym, zimnym światłem księżyca, który wzniósł się wyżej i z czerwonego stał się jasnocytrynowy. Kolory tutaj, w Gardzienicach, są także inne niż w dużym mieście. Pewnie dlatego, że powietrze tu czyste, bez spalin i tego miastowego smrodu, który oblepia człowieka czarnym brudem. Toteż ten księżyc — a idziemy wprost ku niemu — wywołuje tęsknotę za lepszym, czystszym światem i uświadamia zarazem, że każdy z nas, należąc do Kosmosu, jest zaledwie mizernym pyłkiem w niezmierzonym theatrum życia.

I wreszcie jest kres tego marszu, akurat w momencie, kiedy nasyciliśmy się lunatycznym światłem. Po krótkiej wspinaczce zarośniętym stokiem, wchodzimy na dziedziniec gardzienickiego pałacu, a stąd — prosto do maleńkiej salki, gdzie oprócz aktorów odgrywających przedstawienie, zmieści się nas — widzów tylko trzydzieści osób. Tylko? Aż trzydzieści, a i tak, abyśmy się wszyscy pomieścili, Staniewski wpadł na niezwykły pomysł i kazał skonstruować z desek coś w rodzaju platform, które wysunięto z okien jak gigantyczne parapety. Tak więc niektórzy z nas oglądać będą „Awwakuma" stojąc na zewnątrz pałacu i zaglądając do środka przez okno. Niebywałe!

„Żywot protopopa Awwakuma" był częściej grany na świecie i w Europie niż w Polsce, dlatego parę słów o tym niezwykłym przedstawieniu.

Awwakum to imię XVII-wiecznego kapłana prawosławnego, który sprzeciwił się reformowaniu rosyjskiej Cerkwii i został za to spalony na stosie. Jego zwolennicy, zwani później „starowierami" przyjmowali te reformy z prawdziwą rozpaczą, popełniali masowo samobójstwa, niektórzy, bardziej przedsiębiorczy, uciekali przed prześladowaniami w niedostępną głusz Syberii i do Polski. Recenzent brytyjskiego dziennika „The Guardian" tak pisał o tym spektaklu: „Zespół Gardzienic z Polski odtwarza tę epokę w 45 minutach totalnego i elektryzującego teatru. Wszystko jest tu szorstkie i pierwotne. Drągi, wozy, platformy, drabiny, ogromne koła drabiniaste, podnośniki i kołyski ciągane są i podnoszone z brutalną siłą przez chłopów, zgiętych wpół, walczących ze źle dopasowanym ubiorem i niezdarnymi butami. Całemu ruchowi towarzyszy dramatyczny śpiew — muzyka zakorzeniona w ludzie, nazwana »etno-oratorium«, zawodząca i gorzka. Jest to ożywione piekło chłopskie Breughla Młodszego. Ruch jest ciągły, spektakularny i wyczerpuje patrzącego. [...] »Awwakum« oświetlony jest kilkudziesięcioma świecami. Część z nich w świecznikach, część po prostu wetknięta w wielkie bochny chleba i przenoszona. Wszystko zrobione jest po domowemu, ukazując dramatyczne jakości gospodarskich przedmiotów i prymitywne utensylia. Kultura ludowa jawi się jako bardzo prosta, ale zarazem wymyślna, poprzez niezwykle śmiałą i surową energię wykonawców".

PO przedstawieniu czekamy chwilę na zespół; aktorzy przebierają się i wychodzą do nas przed pałac. Ktoś zapala wielkie pochodnie, bierzemy je i idziemy z powrotem kułące. Z oddali widać migocące światło ogromnego płomienia, ale w miarę jak się zbliżamy, płomień rozdziela się na mniejsze, a jaszcze bliżej okazuje się ogniem setki świec, które stoją na stole, zastawionym jadłem i napitkiem. Ta gościnność jest na naszą cześć; będziemy siedzieć razem z zespołem „Gardzienic" i radować się, że w ten piękny wieczór możemy być razem i że łączy nas wspólne przeżycie „Awwakuma". To prawda, co napisał sprawozdawca teatralny „Guardiana": oglądanie przedstawienia wyczerpuje widza. Rzecz to niebywała w teatrze tradycyjnym, gdzie siedzi się wygodnie w fotelu, a w antrakcie wypija w bufecie kawę albo lemoniadę. „Gardzienice" są teatrem całkowicie łamiącym tę regułę i bliższe prawdy byłoby gdybym powiedział, że zespół odgrywa misterium, w którym udział publiczności jest koniecznym warunkiem, aby to misterium zostało do końca spełnione.

Widz, czując się uczestnikiem (jak ja) przedstawienia, nawiązuje jakąś bezsłowną, ale rzeczywistą więź z aktorami. Duże znaczenie ma w tej mierze fizyczna bliskość aktora. Kiedy on przebiega — czuje się powiew wiatru, słyszy jego oddech, szelest kostiumu, niekiedy jest to nawet dotknięcie, a kto jest czuły na zapachy, odbiera specyficzną woń dziesiątków świec i surowego drewna sosnowego. Ruch, ruch, dużo ruchu wywołuje wrażenie, jakby podłoga wirowała i unosiła się w powietrzu. Ale poruszać musi się także widownia, bo w momentach, kiedy aktorzy przenoszą z miejsca na miejsce większy rekwizyt, można mieć obawę, że ów drąg zawadzi o naszą głowę. A zatem nie jest to leniwe patrzenie jak w teatrze klasycznym. Tutaj trzeba z teatrem współdziałać i z tego rodzi się wspólnota, jakaś bliskość, która — oczywiście — nie łamie od razu dystansu pomiędzy artystą a profanem, ale ułatwia widzowi towarzyski kontakt z aktorami i czyni go czymś naturalnym i uzasadnionym.

A teraz, po przedstawieniu, tę atmosferę wspólnoty i archaicznego obrządku potęguje ów zastawiony stół pośrodku pachnącej łąki, otulonej mgiełką i światłem księżyca. Setka, a może i więcej świec przywołuje echo baśni słyszanych niegdyś w dzieciństwie, a wraz z nim — starego, zapomnianego świata, gdzie dobro zawsze w końcu triumfuje, ponieważ dobrzy, szlachetni ludzie otoczeni są opieką wróżek i skrzatów.

Dokończenie na str. 11

„MĄDRA WŁADZA TYM SIĘ CHLUBI, ŻE TO ZROBI, CO WIEŚ LUBI"

CHŁOP NIŻEJ CHŁOPA NIE SPADNIE

Zbigniew Dzięciołek

WOŚ ożenił się późno. Niemal w wieku chrystusowym. Nic dziwnego, że teraz się spieszy. Chce zrobić w gospodarce jak najwięcej, póki sił starcza. Ma 45 lat, a dzieci są jeszcze małe. Jedenastoletnia Urszula chodzi do czwartej klasy. Karol niedawno skończył pięć lat. Bawi się w domu sam, bo przedszkole na wsi to utopia. Umorusana buzia dziecka wystaje zza spódnicy matki. Ciekawy wszystkiego malec spogląda na mnie z zainteresowaniem i ciągnie ukradkiem panią Barbarę za rękaw.

— Mama — mówi szeptem chłopczyk. — Pan chce pić. Daj.

Kobieta nalewa do kanki herbatę, którą mały Karol niesie murarzowi. Bo Wosiowie się budują. Obora z czerwonej cegły już stoi, a drewniana chałupa zostanie wkrótce zastąpiona piętrowym, murowanym budynkiem. Będzie nareszcie centralne, jak w mieście. Na stodole tymczasem zmienili pokrycie dachu. Może wytrzyma jeszcze kilka lat?

Gospodarkę w Kolonii Pliszczyn kupili bardzo zaniedbaną. Właściciele już nie żyli, a dzieci ich uciekły do miasta. Zaczynali więc Wosiowie niemal od zera. Z chłopską zaciętością, krok po kroku, przywracali ziemię do życia. 12-hektarowe gospodarstwo powoli się rozwijało.

Kłopoty zaczęły się dwa lata temu, kiedy złożyli podanie o nowy ciągnik. Stary, kupiony 10 lat temu na przetargu, był już do niczego. Swoje wysłużył, a codzienne reperacje doprowadzały pana Witolda do szewskiej pasji. Maszyna potrafiła „rozkraczyć" się na środku pola i żadna siła nie była w stanie jej uruchomić.

Naczelnik gminy podanie przyjął, na listę wpisał i kazał czekać. Rok czekali cierpliwie, pożyczając ciągnik od sąsiadów. W połowie 1988 r. zaczęli wydeptywać dywany w różnych gabinetach i urzędach. Bezskutecznie.

— Panie — mówi zrezygnowany Woś. — Ja już nie mam siły. Tak dłużej żyć się nie da. Bez traktora w gospodarce ani rusz. Temu, co mamy, to, jak w starym zegarku, tylko dwóch kamieni brakuje. Na jednym położyć, drugim przytłuc. Nawet zarejestrować go nie chcą. W maju ubiegłego roku, jak był rzeczoznawca, to się za głowę brał, że taki wrak jeszcze czasami chodzi.

„Ciągnik (rok prod. 1967) w stanie przedstawionym do oględzin — czytam w opinii wystawionej przez Organizację Rzeczoznawców Techniki Samochodowej i Ruchu Drogowego — nie nadaje się do użytkowania. Naprawa jest technicznie nieuzasadniona z uwagi na nadmierne zużycie wszystkich zespołów".

Wynajęcie ciągnika kosztuje 5 tys. zł za godzinę, a w polu trzeba wszystko skosić, zebrać, wywieźć i za każdą godzinę zapłacić. Albo odrobić. Nowa obora Wosiów świeci pustkami. Trzy krowy i trzydzieści sztuk świń. Niewiele jak na 12-hektarowe gospodarstwo. Można by więcej...

— Pan jest z Lublina? — upewnia się Witold Woś. — Czy pan wie, co to znaczy nie mieć wody w gospodarce? Przywozić codziennie kilkaset litrów z odległości 2—3 kilometrów i za każdym razem prosić kogoś o traktor? Na dodatek woda jest tak wstrętna, że nie nadaje się do picia. Nawet krowa, niby bydlę, a swój rozum ma. Nie ruszy. Dla siebie i stworzenia bierzemy wodę od sąsiada. Ma „głębinówkę". A w gminie ciągle mi mówią, żebym czekał na ciągnik.

— Byliśmy już wszędzie — dodaje pani Barbara — i wszędzie odprawiano nas z kwitkiem. Poszłam do „Sztandaru Ludu", żeby pomogli dostać się do pierwszego sekretarza. Nie ma po co — powiedzieli — bo partia teraz nie ingeruje w sprawy rolnicze. Wicewojewoda Saba też rozłożył ręce. Nie ma traktora i już. Wzięlibyśmy inny — dodaje — jak nie ma tych czeskich „Zetorów", ale trzeba by znowu na koniec kolejki. I tak w koło Macieju.

Są bezradni i zrezygnowani. Nie wierzą już w nic. Nawet w sprawiedliwy podział traktorów. Taki Wawrzyniak czy Jaszczak po dwa nowe mają, a oni jednego nie mogą się doprosić. „I gdzie tu sprawiedliwość?" — pytają.

DWIE KOBIETY

Dokończenie ze str. 1

Ta druga

tkwi w zakurzonym kącie, tuż przy wejściu do budynku Komitetu Wykonawczego Deputowanych. Nie jest ani ładna, ani zgrabna, ani elegancka, a jej wiek jest umęczoną tajemnicą zniszczonej nabrzmiałej twarzy, szarej i zgaszonej. W szeroko rozpostartych rękach trzyma prześcieradło-transparent z protestem, wykaligrafowanym wielkimi drukowanymi bukwami w języku rosyjskim: „BYŁAM JUŻ U TOW. BRAZAUSKASA I INNYCH WAŻNYCH DEPUTOWANYCH, ŻADEN MI NIE DOPOMÓGŁ, BYM MOGŁA ŻYĆ JAK CZŁOWIEK. NADAL JESTEM BEZ PRACY I BEZ MIESZKANIA. NA BRUKU Z MATKĄ CHORĄ PSYCHICZNIE. NOCUJĘ NA DWORCU, RZECZY W LOMBARDZIE, NIE MAM ZA CO WYKUPIĆ! POMOCY!".

— A dlaczego ona po rosyjsku to napisała? — dziwią się nasrożone Litwinki i dawaj sztorcować Drugą Kobietę.

— Daże nie wsie panimajut pa litowski! — nie wytrzymuję, świadom, że w wileńskim tyglu egzystuje ze sobą aż 92 narodowości, w tym 50 nie przez wszystkie statystyki uznawanych, bo mniej niż 10 osób liczących.

Litewska „pańcia" piorunuje mnie wzrokiem, ale krzywdy fizycznej nie czyni. Deputowani przedzierają się przez tłumek gapiów, wchodzą do budynku spokojnie, miarowym krokiem, bez chwili wahania. Druga Kobieta zagryza wargi, poprawia mdlejące z wysiłku ręce, stoi dalej. Tłumek nie maleje.

— To głównie turyści... — informuje znajoma wilnianka. — Miejscowi już przywykli, nawet milicja nie reaguje, o, proszę, przechadzają się obojętnie...

Milczące jednoosobowe protesty

przed gmachem Komitetu Wykonawczego Deputowanych należą do porządku dziennego tego zakątka ul. Lenina, głównej arterii stolicy Litwy. Zmieniają się tylko osoby, które cierpliwie trwają tuż obok głównego wejścia, trzymając płachtę, na której wypisane krzywdy i bóle, rejestr bezduszności (rzeczywistej lub wyimaginowanej) miejscowych władz.

Czy taka indywidualna forma protestu okaże się skuteczniejsza od bezpośrednich rozmów z urzędnikami, którzy drzwi do swoich gabinetów przecież nie zamykają? Trudno być prorokiem na współczesnej Wileńszczyźnie. Z pewną znaną aktorką rozmowy toczono przez dwa tygodnie. I też stała u wrót władzy niczym żywy słup ogłoszeniowy...

Demonstrowanie swoich pretensji przybiera w Wilnie różne formy. Dominuje jeden olbrzymi ból: precz z bezprawiem! Oto monumentalny gmach katedry wileńskiej. W cieniu wspaniałego monumentu stoi całkiem nowy barakowóz, niczym wóz Drzymały, oblepiony krzykliwymi hasłami miejscowej opozycji. „BADO STREIKAS!" („STRAJK GŁODOWY!") głosi tytuł obszernego memoriału: „Moja głodówka poświęcona jest nie tylko cierpiącej ojczyźnie Litwie, ale wyraża też solidarność z duchowymi braćmi innych narodów: Gruzji, Armenii, Łotwy, Estonii, Ukrainy, Białorusi, Polski i Mołdawii. Wyrażam współczucie także narodowi rosyjskiemu, bowiem on sam jest również duchowo zniewolony; naród, który odebrał wolność innym, sam mimo woli staje się niewolnikiem. Tak odrodzimy się wszyscy razem. PETRAS CIDZIKAS."

— To były zakrystian z Walkienników, aktywista opozycji, zwolniony z więzienia na fali pieriestrojki. Dziś ma przemawiać na mityngu młodzieżowym... — dopowiada pani Basia.

Jedziemy więc na ten mityng

taksówką, tanie tu taksówki. A komu jeszcze drogo, może wsiąść do mikrobusu z napisem: „Marszrutnoje taksi". Takim mikrobusem wyprawa do Kowna (100 km) kosztuje zaledwie 3 ruble...

„KALNU PARKAS", czyli Park Górny, wzgórza trzykrzyskie. Tłumy cisną się wąskimi alejkami w kierunku muszli koncertowej. Co krok zaimprowizowane stoisko z broszurami i ulotkami młodzieżowych kół i korporacji walczących o samodzielność Litwy. Z pierwszej strony biuletynu ruchu „Sajudis", zatytułowanego „Atgimimas" („Odrodzenie"), atakuje oczy złożone ogromną czcionką pytanie: „Kokia Lietuva buvo, kokia Lietuva bus?" („Jaka Litwa była, jaka Litwa będzie?"). Młoda dziewczyna z metalową puszką kwestuje w zbożnej intencji uporządkowania grobów na cmentarzu wojskowym. Ktoś gra na skrzypcach. Na plecach skrzypka hasło: „Kurkime blaivią Lietuvą", co znaczy: „Twórzmy trzeźwą Litwę".

Ciągle pod górę. Docieramy wreszcie na miejsce: w położonej wśród dorodnych drzew pięknej kotlinie u podnóża Góry Trzykrzyskiej tysiące ludzi. Tu zwykle odbywają się festiwale, koncerty, występy. Dzisiejszy „występ" zapowiada się szczególnie; na podium poczty sztandarowe z trójkolorowymi flagami w litewskich barwach narodowych. Na sęku herb Litwy — Pogoń, i wieniec z dębowych liści w kolorze zielonym, żółtym i czerwonym. Transparenty o jednoznacznej wymowie: „Wyprowadzić z Litwy okupacyjne wojska!", „Red Army go home!"

Wiec młodzieżowy, ale ludzie w różnym wieku — od niemowlęcia z litewskim proporczykiem na wózeczku, poprzez młodzież w trójkolorowych swetrach, spódnicach i szalikach, do staruszków z wpiętymi w klapy znaczkami, na których Pogoń i napis „Sajudis". Eksplozja litewskości! Miarowym krokiem przechadzają się milicjanci z radiostacjami i czerwonym otokiem na szerokich czapkach. W cieniu starego dębu karetka pogotowia stoi na wszelki wypadek...

Do mikrofonu podchodzi znany historyk, Algis Bumblauskas. Szmer kolorowego tłumu: zaczyna się!

— Do partii komunistycznej przed drugą wojną światową należało tylko kilka tysięcy osób — mówi Bumblauskas. — Fałszowano historię *(oklaski)*. Z czym można porównać dzisiejszy ustrój? Nie można tego porównać nawet z feudalizmem. To, co stworzył Stalin, jest azjatyckie. Kołchoźnicy bez paszportów nie różnią się od azjatyckich niewolników sprzed tysięcy lat, gnębionych przez mandaryna. Ten ustrój nie ma nic wspólnego z europejskością. Przed wojną też było ciężko, ale cywilizacja miała charakter europejski! *(oklaski znów przerywają wystąpienie)*. Powojenna sytuacja nie da się porównać do niczego europejskiego. „Chociaż ja zginę, przyjdzie dzień wolności!" — słowami litewskiej dainy kończy A. Bumblauskas.

Mówcy zmieniają się, ale atmosfera pozostaje ta sama. I ten sam symbol pamięci o Romasie... 14 maja to dzień protestu litewskiej młodzieży przeciwko niesprawiedliwości: „Walcz umysłem, żeby nie ucierpiał cały naród". To rocznica. 14 maja 1972 roku w Kownie spalił się 19-letni Romas Kalanta, w dramatycznym geście protestu, w intencji wolności dla Litwy. Pogrzeb młodego samobójcy przerodził się w burzliwą demonstrację. Wersja oficjalna: „chory psychicznie". A on powiedział przed śmiercią: „Nie będę czekał, aż ten ustrój mnie zniszczy, wolę popełnić samobójstwo!"

Do mikrofonu podchodzi przedstawiciel tzw. Ligi Kalanty:

— Zaczynam, bracia i siostry, od minuty ciszy ku czci Romasa i jego zmarłej niedawno dzielnej matki. Dzisiaj w Kownie upamiętniono miejsce spalenia się Romasa, wmurowano tablicę. Wzywam ludzi do pracy, żeby Litwa była niepodległa *(okrzyki i oklaski)*. Nadal nie wydano postanowienia o rehabilitacji Kalanty, nadal figuruje jako chory psychicznie. Zwracam się do zjazdu medyków Litwy: nie zapominajcie o przysiędze Hipokratesa. Upominać się o wartości moralne warto i trzeba koniecznie, choćbyśmy mieli władzom votum nieufności ogłosić. Myślę, że do tego nie dojdzie, bo władza i tak wiele już dla samodzielności Litwy zrobiła. Ale walczyć o morale narodu trzeba koniecznie dalej. Jeśli się zgadzacie z tą rezolucją, powtórzcie trzy razy: „prawda"!

I doliną wstrząsnął trzy razy okrzyk: „tiesa! tiesa! tiesa!" Więźniarka polityczna, Sadunaite, mówi długo o autonomii, niezależności i sprawiedliwości. Przemawia Petras Cidzikas, zmęczony mężczyzna z długą siwą brodą. To ten strajkujący przy Katedrze; towarzysze niedoli przywieźli go z miejsca głodówki, by chociaż kilka zdań powiedział. I mówi. Jego słowom towarzyszy stukot młotów. To robotnicy, mimo niedzieli, pracują na Górze Trzykrzyskiej. U jej podnóża leżą trzy betonowe krzyże, wysadzone dynamitem za czasów Stalina. Wrócą na swoje miejsce...

— Ja sobie myślę — mówi na koniec Woś — że chłop niżej chłopa nie spadnie. Nie ma gdzie. Jak do żniw nie dadzą ciągnika, to sprzedam wszystko w diabły i pójdę do miasta. Robota się zawsze znajdzie. Mało to ogłoszeń w gazetach? Ciągle tylko gadają, że w rolnictwie trzeba zmienić to, ulepszyć tamto, a mnie od tego zielonego światła ciemno się w oczach robi.

Próbuję odnaleźć Wosiowy traktor.

Kolonia Pliszczyn leży w obrębie gminy Wólka Lubelska. Naczelnik, Czesław Jarząbek, jest nieco zdziwiony moją wizytą.

— Woś? Tak. Znam sprawę. Sytuacja jest u niego wyjątkowo trudna. Tylko co ja mogę poradzić? Ciągników mało, chętnych dużo. Obecnie czeka 122 rolników, a rocznie dostajemy około 15 sztuk różnych typów traktorów. „Zetor", na który zapisał się Woś, „przychodzi" bardzo rzadko. To czeska produkcja, potrzebne są dewizy.

— Zacznijmy od tego — dodaje jego zastępca, Mieczysław Pietroń — że my nie przydzielamy ciągników. Jest lista przydziałów, którą opracowaliśmy wspólnie z przedstawicielami wszystkich wsi w gminie. My pilnujemy tylko kolejności przyznawanych maszyn, których liczbę na poszczególne gminy limituje województwo.

Zastępca naczelnika poinformował mnie również, że rolnik, który otrzymał traktor z przydziału, może się starać o nowy dopiero po 12 (produkcja radziecka) lub 15 (prod. polska) latach użytkowania. Biorąc pod uwagę fakt, że jednostki państwowe i spółdzielcze nierzadko sprzedają swoje ciągniki (właśnie chłopom) już po 3—4 latach eksploatacji i to za sumy znacznie przewyższające cenę nowego traktora, trudno oprzeć się wrażeniu, że mamy do czynienia ze zbójecką gospodarką sprzętem, którego ponoć brakuje na rynku rolniczym...

Sprawdzamy razem z Mieczysławem Pietroniem księgi rejestracyjne. Wawrzyniak — dwa traktory, Jaszczak — też dwa traktory. Zarzuty Wosia potwierdzają się.

— Wawrzyniak dostał jeden ciągnik z przydziału w 1982 r. — tłumaczy naczelnik Pietroń — a ten drugi... Hm, data z 1988 r., odebrał z „Agromy", czyli nowy. Ale myśmy mu nie dali — zapewnia. — Jak załatwił? Nie wiem. U Jaszczaka też dwa. Jeden, z 1982 roku, zapisany jest na żonę, a drugi... dostał, z przydziału, na siebie w 1988 roku...

O traktorach więcej nie rozmawialiśmy.

W 1978 roku zaczęły się w gminie kłopoty z wodą. Lublin rozrastał się, zużywając coraz to większe jej ilości. Powstał lej depresyjny, który spowodował wysychanie wiejskich studni. Naczelnik jest optymistą i twierdzi, że już w 1995 roku zostanie uruchomiony w Kolonii Pliszczyn wodociąg. Jeszcze tylko sześć lat pan Witold będzie dowoził wodę do gospodarstwa.

Podążam dalej śladem ciągnika, który spędza sen z powiek Wosiowi. W Lublinie rozmawiam telefonicznie z Józefem Golcem, z-cą dyrektora Wydziału Rolnictwa, Leśnictwa, Geodezji i Gospodarki Gruntami w Urzędzie Wojewódzkim.

— To już i u was był? — rzuca retoryczne pytanie dyrektor. — I po co on chodzi po redakcjach? „Zetorów" nie ma, a w takiej sytuacji jak on znajduje się obecnie co najmniej 500 rolników. Jutro jest dzień przyjęć interesantów. Niech pan przyjdzie i posłucha.

Następnego dnia rano zjawiam się w pokoju dyrektora Golca. Przed drzwiami czeka już spora grupka chłopów. Palą papierosy i nerwowo przestępują z nogi na nogę. Zaraz zaczną się przyjęcia w gabinecie.

Z Józefem Golcem rozmawiamy krótko. Chłopi czekają.

— W 1989 roku otrzymaliśmy z centralnej puli 59 sztuk „Zetorów" różnych typów — oblicza dyrektor Golec. — 52 z nich już rozdysponowaliśmy. Pozostało siedem, ale żaden z nich nie jest przewidziany dla Wólki Lubelskiej. Gmina dostała w tym roku, poza rozdzielnikiem, dwa ciągniki o małej mocy — polski i radziecki. Takie zapotrzebowanie złożył naczelnik, a przecież gdyby uznał, że sytuacja Wosia jest rzeczywiście trudna, mógł wystąpić z wnioskiem o „Zetora". Dalibyśmy. Ja nie mogę znać spraw wszystkich rolników.

W województwie lubelskim, mówił Józef Golec, znajduje się 9 tysięcy gospodarstw powyżej 7 hektarów — bez ciągnika. 8800 osób stoi w kolejce po traktory, a roczne przydziały wynoszą około 1500 sztuk. Łatwo obliczyć, że na upragnione „cztery koła" trzeba czekać ponad 5 lat. Zasady przydziałów, o których również wspominał dyrektor, są proste. Najpierw sektor państwowy i spółdzielczy, czyli państwowe gospodarstwa rolne, spółdzielnie kółek rolniczych, rolnicze spółdzielnie produkcyjne, a tym, co zostanie, obdziela się chłopów. Można i tak. Tylko czy czterdziestoletnie doświadczenia nie są wystarczającym argumentem, aby odwrócić kolejność przydziału maszyn rolniczych?...

Do pokoju dyrektora wchodzi pierwszy interesant. Młody chłopak, z wyglądu 20, może 22 lata. Przyjechał z Owni w gminie Ryki. Wspólnie z teściem prowadzi 8-hektarowe gospodarstwo. Jest zdenerwowany i wcale tego nie ukrywa:

— Panie! Czy są jakieś prawa w tym kraju? Byłem na liście pierwszy, Wieczorek drugi. On dostał już przydział na ciągnik, a ja co? Dalej mam koniem wszystko obrabiać?

Dyrektor Golec telefonicznie wyjaśnia sprawę. W „Agromie" twierdzą, iż wysłali telegramem zawiadomienie pierwszemu rolnikowi na liście. Nie zgłosił się, więc uznali, że zrezygnował z ciągnika. Chłopak zaprzecza. Żadnego telegramu nie dostał. Niech mu nie wmawiają. Nie da się wziąć na plewy. Krótka rozmowa przez telefon i dyrektor mówi:

— Niech pan jedzie do „Agromy" i uzgodni termin odbioru ciągnika.

Na korytarzu czeka jeszcze kilkanaście osób. Mają nadzieję, której Wosiowi już zabrakło.

✲

Na budynku przylegającym do Urzędu Gminy w Wólce Lubelskiej powieszono przedwyborcze hasło: „Mądra władza tym się chlubi, że to zrobi, co wieś lubi". Rzeczywiście?...

PS. Już po napisaniu reportażu dowiedziałem się od zastępcy naczelnika gminy, Mieczysława Pietronia, że Witold Woś otrzymał ciągnik.

Osiem tysięcy ośmiuset rolników nadal czeka...

Góra

Barbara i Algis Kaledowie opowiadają o prapoczątkach tego historycznego miejsca. O panowaniu Olgierda, którego potęga wpłynęła na rozwój handlu z Rusią i miastami hanzeatyckimi, a — co za tym idzie — na nadanie rozmaitych przywilejów kupcom, bez względu na wyznanie. Namiestnik Olgierda, Gastold, sprowadził do Wilna franciszkanów i drewniany klasztor im zbudował w miejscu, gdzie dziś kościół Bonifratrów, obecnie Mała Sala Barokowa. O tym, jak pod nieobecność Gastolda poganie wpadli do klasztoru i siedmiu mnichów srodze zamordowali, a innych siedmiu, którzy w gajach na Łysych Górach schronić się usiłowali, pojmawszy ukrzyżowali i ich zelżone ciała z góry do rzeki powrzucali.

Na pamiątkę tych męczenników, kiedy już chrześcijaństwo na Litwie się rozszerzyło, postawiono na tej górze trzy krzyże, które odtąd klasztor franciszkański odnawiał i podtrzymywał. Gastold wrócił i z rozkazu Olgierda ukarał pięciuset morderców, a także nowy zastęp franciszkanów sprowadziwszy, klasztor im nowy za miastem postawił. Od czasów Murawjewa krzyże nie mogły być odnawiane. Dopiero podczas I wojny światowej w miejsce drewnianych postawiono betonowe. Autorem projektu betonowych symboli był znany polski architekt i rzeźbiarz, Antoni Wiwulski...

Stąpamy po zboczach Góry Trzykrzyskiej, w dole szumi leniwie Wilejka. Podobno nigdy nie było i nie ma na Litwie rzeki Wilejki. Jest to Wilenka, tak brzmi jej nazwa. A Wilejkę wymyślił Adam Mickiewicz, bo tak mu do rymu pasowało, czemu wyraz zresztą dał na kartach „Pana Tadeusza". A ja tam wolę pozostać wierny Mickiewiczowi niż encyklopedii, do niego większy sentyment czuję, niech więc — zgodnie z magiczną potęgą poezji — będzie Wilejka i już!

Stąpamy więc po zboczach Góry i być może depczemy mogiły bezimiennych powstańców 1863 roku. Tu ich grzebano w wielkich zbiorowych dołach, a Góra wówczas, niedostępna dla ludzi, była zamkniętym terenem wojskowym. Dziś w porastających podnóże bezimiennego cmentarzyska zaroślach młodzi całują się bez żadnych obciążeń. Na kolorowym kocu butelki z pepsi, tranzystor, jakaś książka. „Asz tawia milu" (ja ciebie kocham) — słyszymy nagle w języku pochodzącym z sanskrytu, zbliżonym do języka Jaćwingów. I znowu się całują przy podniesionej kurtynie. A potem polska młodzież pyta na spotkaniach autorskich: „Czy młodzież litewska jest inaczej smutna niż my?"

Znowu koło Katedry. Tłumek przed pustelnią na kółkach nie maleje. Oczekują na powrót Cidzikasa z wiecu, na jego błogosławieństwo. Plakatów na barakowozie przybywa...

Druga Kobieta tkwi nadal przed wrotami władzy. Jakby zesztywniała w swoim uporze, zastygła twarz niczego już nie wyraża poza nadludzką wolą trwania. Gapie tarasują chodnik. A gdybym ja tak mógł stanąć na jej miejscu? Co bym ludziom napisał na swoim prywatnym transparencie? Napisałbym: „PRECZ Z UPOKARZANIEM TURYSTÓW!"

Wędrówki spragnionego

Ul. Ukmerge, największy dom towarowy w Wilnie, cztery kondygnacje wypełnione kolorowym tłumem klientów. Przy stoisku jubilerskim tłoczą się Polacy. „Pan potrzebuje łańcuszek?" — zaczepia mnie miejscowy spekulant. „Tylko 35 rubli..." — zachęca. „Tak tanio?" — dziwię się. „No, 35 rubli nacenki (czytaj: łapówki), a łańcuszek 140, razem 175..." — wyjaśnia. Nie korzystam z „okazji". Wychodzę z uniwermagu w nierzykłej melancholii. W lubelskim „pedecie" coraz więcej wycieczek z Wilna i innych miast ZSRR. I też tłoczą się przy niektórych stoiskach. I nikogo to nie dziwi, bo takie są prawa popytu i podaży na całym świecie. I z całą pewnością w „Szpilkach" nie natknę się na żart takiej „klasy", jak ten w litewskim czasopiśmie „Szluota" („Miotła"), zamieszczony tuż przed Zaduszkami: karawana „maluchów" z kolorowymi telewizorami na dachach, a na ostatnim płyta z napisem: „MATKA I SERCE JEJ SYNA"...

Litwin, który wręczył mi ten numer „Miotły" na pamiątkę, czerwieni się ze wstydu... Nie słyszałem też, by polski minister handlu tłumaczył braki na półkach tak, jak jego litewski odpowiednik, który winę za brak mydła zwalił na barki spekulantów... Spekulantów głównie zagranicznych, ma się rozumieć. Czy widział kto Polaka z litewskim mydłem? Widziałem natomiast mieszkańców Kraju Rad, chwalących sobie zapach polskiego „Lotosu"... Wychodzę z domu towarowego.

Centrum handlowe wzorcowo otoczone jest siecią barów, kawiarni, punktów usługowych. Intryguje mnie kolejka przed drzwiami z dużym napisem: „ALUS — BEER — BIER — PIWO" (ostatnie słowo w jęz. rosyjskim). Bar piwny. Gorąco, pić się chce. Staję więc i czekam, jest godzina dwudziesta, dokładnie. Napełnieni pełnym perlistym niechętnie wychodzą, co 10—15 minut zaledwie jeden, dwóch. I znów zgrzyt klucza. Kolejka pokornie czeka, aż Jaśnie Pan Kelner zechce wpuścić kogoś do środka. Co chwila ktoś zniecierpliwiony puka, ale czyni to nieskutecznie, bo tylko zgiętym palcem. „Pukaj rublem, a wejdziesz!" — dowcipkuje ktoś z boku.

Czy zdążę skosztować piwa do dwudziestej drugiej? Po godzinie czekania jestem na dziesiątej pozycji. Przede mną grupka Mołdawian; widać przywykli już do takich obyczajów gastronomicznych, bo czekają pogodnie. Słońce zachodzi i w cieniu 20-piętrowego hotelu „Lietuva" robi się chłodno. Nowoczesny monolit gmachu i czas, który wycieka proporcjonalnie do apetytu na piwo...

Tymczasem Jego Ekscelencja Kelner wpuszcza trzech znajomków bez kolejki i jednego uprawnionego. Takie proporcje utrzymują się do godz. 21.30. Wtedy to wspaniałomyślnie uchylają się wrota i wchodzimy wszyscy jednocześnie: czekający od ósmej i ci, którzy przyszli przed chwilą. Gdzie w tym logika? Po takim czekaniu smak piwa, podawanego w estetycznych glinianych kuflach, cieszy jakby mniej. No i ta świadomość, że przecież wolne miejsca były przez cały czas...

Godzina 23.00. Kombinat gastronomiczny „Dainava". Bar nocny czynny do 2.00, ale bilety wstępu wykupuje się znacznie wcześniej, w godz. 17—18; nie ma szans, drzwi zamknięte na klucz, takie sobie miejscowe getto... Pozostaje szansa sforsowania sąsiednich drzwi i wejścia do restauracji, czynnej do północy, jeszcze pełną godzinę. Ba, ale jak?! Tabliczka „miest niet" i groźny portier. Po 20 minutach różnych podchodów wchodzę bezczelnym podstępem. I cóż my widzimy, proszę wycieczki? Co najmniej połowa olbrzymiej sali konsumpcyjnej świeci pustkami! Nie zależy im na dochodach? Ludzie, trzymajcie mnie!...

Mój podstęp poszedł niestety na marne. Chociaż do zamknięcia jeszcze całe 40 minut kelnerki porozsiadały się już na zapleczu z założonymi rękami. Zbywają moją prośbę o szampana monotonnym: „Kuchnia uże nie rabotajet". Próżno skamlę, że nie chodzi mi o gotowanego szampana, ale chcę takiego na surowo, z butelki!

Tajemnicy gotowanego szampana nie potrafił mi wyjaśnić nawet administrator, czyli ichni kierownik; stać go było tylko na groźne: „A w ogóle, to kto was tu wpuścił?!" Ostrzegawczo warczę, żem pisarz, piszę książkę o Litwie, no i tak to wszystko opiszę, że ich rodzony czort nie pozna! Po takim dictum administrator mięknie i proponuje usiąść przy stoliku, a nie tylko szampan się odnajdzie, także filiżanka dobrej kawy.

Nie korzystam z tej metamorfozy i zbiegam po schodach wkurwiony, a kierownik za mną. Zgrzyt klucza w drzwiach koresponduje ze zgrzytem moich zębów. Ech, ludzie, ludzie, czy to sposób na walkę z alkoholem? Być może. Ale z Europą ma to niewiele wspólnego, drodzy przyjaciele z Litwy...

✲

Wieczorem oglądam w litewskiej telewizji film polski „Polskie drogi" w rosyjskiej wersji językowej i dumam: „Ech, drogi polskie, polskie wykroty..." Spiker powtarza słowa I sekretarza KC KP Litwy, Algirdasa Brazauskasa, wygłoszone na zjeździe „Sajudisu": „Idee rewolucyjnej odnowy, demokratyzacji i jawności ogarnęły całą Litwę..."

Wyłączam telewizor, biorę do ręki „Czerwony Sztandar". Jest relacja z wyboru pierwszej Kobiety Wilna. O Drugiej Kobiecie — ani słowa... I jeszcze coś, komunikat Prezydium Rady Najwyższej Litewskiej SRR: „Jedenasta sesja RN LSRR powołała komisję deputowanych do rozpatrzenia interpelacji grupy deputowanych ludowych ZSRR i deputowanych do RN LSRR w sprawie głodówki członka komitetu ocalenia więźniów politycznych P. Cidzikasa, ogłoszonej w Wilniusie na Placu Giedymina. Komisja w składzie: Z. Waiszwila — starszy wykładowca Instytutu Podnoszenia Kwalifikacji Kierowniczych Pracowników i Specjalistów Gospodarki Narodowej przy Radzie Ministrów LSRR; P. Kuris — minister sprawiedliwości LSRR; J. Lukauskas — przewodniczący Komitetu Kontroli Ludowej LSRR; K. Motieka — adwokat Wileńskiej Poradni Prawnej nr 1; R. Ozolas — zastępca redaktora naczelnego wydawnictwa „Mintis"; N. Raguotis — pierwszy zastępca kierownika wydziału ekonomiki i spraw socjalnych KC KP Litwy; L. Szepetys — doradca przy Radzie Ministrów LSRR — zbadała motywacje postulatów P. Cidzikasa i przedstawiła swoje orzeczenia Prezydium Rady Najwyższej Litewskiej SRR. Prezydium uchwaliło dekret o ułaskawieniu Bolesłowasa Lizunasa, uwzględniając jego podeszły wiek i to, że odbył dwie trzecie terminu kary. B. Lizunas został zwolniony od odbywania pozostałego terminu kary".

Odkładam gazetę i zdecydowanym gestem uruchamiam znowu telewizor. Oglądam program uważnie, aż do końca.

Henryk Makarski

NIEMOŻLIWE jest dziś przedstawienie 300 komunikatów naukowych ustnie. Na tej konferencji prawie wszystkie prace przedstawiane są jako plakaty, po kilka wybranych przez organizatorów prac jest referowanych z katedry, ponadto w każdej sesji jest jeden referat przeglądowy.

Zaznajomienie się z treścią i zanotowanie prac z grupy pierwszej i trzeciej nie jest trudne. Plakaty wiszą przez cały tydzień, dwukrotnie autorzy dyżurują przy plakatach, jest czas, aby plakat dokładnie przestudiować, potem wypytać autora, nawet jeszcze wrócić innego dnia, gdy się o czymś zapomniało. Wykłady przeglądowe prawie nie wymagają notowania, dotyczą bowiem prac już publikowanych; jeżeli którejś z cytowanych pozycji się nie zna, wystarczy zapisać odsyłacz. Można jeszcze zanotować ciekawy komentarz.

DZIEŃ POLSKI

FIZYK W GANDAWIE

Tomasz Goworek

W rezultacie najtrudniej zapoznać się właśnie z pracami wyróżnionymi. Autor mówi i równocześnie wyświetla rysunki, dane, wzory, wreszcie wnioski na przezroczystych foliach za pomocą rzutnika pisma. Jak się notuje z ekranu, to nie słychać komentarza, jak się słucha — nie zdąży się nic zanotować z folii. Sprawę rozwiązali Japończycy i znaleźli naśladowców: fotografują ekran, folia po folii. Pstrykanie nie absorbuje, można przez cały czas uważnie słuchać komentarza.

Siedzę obok Davida Steinera, też uzbrojonego w kamerę.

— Wystarczy czułość filmu? Co z ziarnem?

— Mam 1000 ASA, ziarno wystarczająco drobne, aby litery były czytelne.

David ma aparat z normalnym obiektywem, musi więc siedzieć w pierwszych rzędach, aby ekran wypełniał klatkę, Japończycy z potężnymi zoomami mogą operować z dowolnego rzędu.

Audytorium, w którym obradujemy, niczym się nie wyróżnia. Jak na całym świecie, pulpity i oparcia krzesełek studenci pokryli napisami: imiona, nazwiska bohaterów seriali, marki samochodów, tytuły filmów, nazwy zespołów rockowych. CYNTHIA. Setki razy Cynthia, po całej sali — czy to pisał jeden wytrwały, czy tylu ich było? MERCEDES — FERRARI — SCODA. Ktoś przekreślił C i poprawił: SKODA. Mercedes — Lada — Fiat. Napisów Polonez, FSO, mimo poszukiwań, nie dostrzegłem.

Małe sale wykładowe są dużo ładniejsze, fotele o olbrzymich, wysokich oparciach, pokryte skajem. Ta wysokość sprawia, że każdy następny rząd musi być umieszczony dużo wyżej, sale są bardzo strome. Taka ściana ciemnobrązowych pleców jest naprawdę efektowna. Na naszym drogim UMCS jest odwrotnie: im sala mniejsza, tym tandetniejsza.

Budynki są funkcjonalne, dużo przestrzeni, wielkie halle, szerokie korytarze. Nikt by nie wpadł na diabelski pomysł zbudowania rektoratu w formie wieżowca, w dodatku w ogóle bez hallu wejściowego. Tutaj rektorat, jako biuro, jest mały i niepozorny, za to aula uniwersytecka wspaniała: marmury, kolumny, mozaikowe posadzki, imponujące schody, w hallu popiersia wybitnych uczonych. Czytam tabliczki: McLeod — to on był stąd, mimo tak szkockiego nazwiska? Kekulé — podał wzór strukturalny benzenu w 1865, w tym roku przenosił się z Gandawy do Bonn; czy te sześć diabłów trzymających się za ogony przyśniło mu się tu?

W pierwszym dniu referowane są prace wykonane nowymi technikami. Jeżeli jakaś technika pomiarowa egzystuje bez większych zmian przez lat kilka, potrafimy ją sobie przyswoić, a nawet uzyskać niekiedy lepsze parametry aparaturowe niż Zachód. Oni używają urządzeń standardowych, fabrycznych, nie tracą czasu na cyzelowanie własnych jednostkowych konstrukcji. Rewolucja w technice natomiast nas wykańcza. Bezwładność wszelkich działań jest ogromna i muszą minąć lata, zanim się coś zbuduje. Poza tym ceny krajowe są obłędne i nieadekwatne do subwencji na naukę. Renomowana firma żąda za jakiś element 400 dol., krajowy partoła za ten sam (ale nie taki sam) — milion zł. Poza tym firma da od ręki, nasz monopolista łaskawie obieca za trzy lata, a potem i tak terminu nie dotrzyma.

Nakanishi referuje projekt nowego laboratorium: dwie hale, akcelerator elektronów na 400 MeV, ogromne objętości utrzymywane w warunkach superpróżni, potężne osłony radiologiczne. Koszt razem z budynkami i wyposażeniem (a rzecz jest nie seryjna, tylko zupełnie unikalna) — 13 mln dolarów. Gdyby nawet przeliczyć to po kursie czarnorynkowym, nikt by u nas nie podjął się budowy. My wiemy, jak budować drogo, tanio nas nie interesuje.

CZWARTEK był chyba dniem polskim. Nie tylko z powodu mojego wykładu czy przewodnictwa Wojtkowiaka na innej sesji, ale i z powodu bałaganu, jaki tylko w ojczyźnie. Obrady były w dwóch sekcjach: metale i niemetale; sekcja niemetali miała, zgodnie z programem, obradować w audytorium 3. Najpierw dwugodzinna dyskusja okrągłego stołu o problemach chemii, półgodzinny coffee-break, a potem ja. Po mnie krótkie wystąpienia uzupełniające temat.

Z rana od ludzi dowiedziałem się, że okrągły stół przeniesiono do sali 204 (na tablicy ogłoszeń nie było odpowiedniego zawiadomienia). Dyskusję moderował Pretre, nie trzymał się wcale rozkładu jazdy, przeciągnął o pół godziny, pozbawiając uczestników należnej im kawki i wafelka. Już w trakcie dyskusji ludzie zamiast o chemię, pytali, w której sali będzie ciąg dalszy. „Chyba" w audytorium 3. Okrągły stół skończył się o 11, o tej samej porze miałem już stać na katedrze. Puściłem się pędem, z teczką notatek pod pachą, przez prawie stumetrowy korytarz, z piętra na piętro; w holu obok korytarzy do audytoriów zauważyłem strzałkę „do sekcji B", zakręcam, jest audytorium, rzutniki ustawione. Nie ma nikogo. Na drzwiach napis „Audytorium 5". Wybiegam, łapię napotkanego laboranta, potwierdza, że obrady będą w audytorium 5. Na audytorium 3 nie ma żadnej kartki informującej o zmianie. Pięć po 11, jesteśmy na sali w składzie: przewodniczący, trzech mówców i dwóch słuchaczy. Profesor Singh, chairman, stwierdza:

— Nie ma rady, niech pan zaczyna...

Początek mam zawczasu przygotowany, trudno doraźnie wymyślić jakiś inny wstęp. Zaczynam standardowo, od podziękowań organizatorom za zaproszenie, za gościnność — idiotyczne, na sali nikogo z gospodarzy, a właściwie w ogóle nikogo. Publiczność dopiero powoli zaczyna się sączyć do sali.

„...Gandawa słynie od wieków ze swej gościnności. Gdy w roku 1457 Filip Dobry wkraczał do Gandawy, podejmowano go uroczyście. Jak podaje kronikarz Georges Chastellin, zaaranżowano żywe obrazy, w pobliżu mostu na rzece Leie płynęły syreny, zupełnie nagie, z rozpuszczonymi włosami [tu stosowny rysunek na folii]. Pięćset lat później, w 1988, inne doniosłe wydarzenie: kwiat nauki przybył na podbój Gandawy [kolejna folia], ale gdzie są te syreny?!...".

Folie przygotowałem możliwie starannie (jeden z kolegów powiedział, że były to raczej folies bergères). Na pierwszej był most, syreny, Filipa Dobrego imitował jeździec zapożyczony ze starej ryciny w „Opowieści rycerza" Chaucera (Chaucer dedykował „Opowieści Kanterberyjskie" Blance, żonie Jana — jak by nie było — z Gandawy), był jakiś orszak, był też herold z proporcami skopiowany z „Księgi turniejów króla René". Ten sam herold był powtórzony pod datą 1968 na tle zamku Gravensteen, gdzie powiewały stosowne flagi o skojarzeniach konferencyjnych, proporce herolda zmieniłem minimalnie, ale tak, żeby przedstawiały strefę Brillouina, potencjał Hartree, cząstkę-lwa w błękitnej jamie potencjału itd. Publiczność nie zawsze zdąży się domyślić, należało więc, choćby krótko, blazonować godła. „Le livre des Tournois", autorstwa króla René i ponoć przez niego ilustrowana, nie miała bezpośredniego związku z Gandawą, ale opisywała reguły i rytuały turniejowe, starannie przez króla skatalogowane, na przykładzie turnieju stoczonego w 1392 r. w pobliskiej Brugii między Janem van Gruythuuse i panem van Gistel. W dwie godziny po moim wystąpie wyjeżdżaliśmy właśnie do Brugii.

Tymczasem sala się wypełniła, dalszy ciąg poszedł gładko, publiczność przychylnie reagowała na dowcipy wmontowane w tekst. Trochę przeciągnąłem czas, trochę skróciłem tekst, chyba wypadło jako tako.

OPOWIADANIE czy rysowanie dowcipów nie jest uprawiane przez wszystkich, jest to raczej obyczaj anglosaski, ale chyba pożyteczny. Na ogół pierwszego referatu z brzegu, może dwóch, ludzie słuchają dość uważnie, potem są nieco znużeni i trzeba ich otrzeźwiać. Rysunki działają jak lemowski „ocykan" — przemyślny specyfik do „ocykania się", opisany w jego „Kongresie futurologicznym".

W kawałach celuje Roy Norden. Tym razem w podsumowaniu konferencji wyświetlił folię z rysunkiem, który przypominał schemat blokowy aparatury elektronicznej. W miejsce zwykłych napisów w ramkach: „wzmacniacz", „trygger", „konwerter", wpisane były różne rzeczy, np. „dozownik alkoholu"; dwie strzałki, opatrzone napisami: „wynik doświadczenia" i „pomysł interpretacji", schodziły się do skrzynki: „koincydencja przypadkowa". U dołu, gdzie zwykle jest namalowany blok rejestrujący wynik, widniał miernik ze wskazówką i skalą. Naprzeciw wychylonej wskazówki na skali napis: GÓWNO.

Tak to właśnie jest. Często rezultatem żmudnej pracy jest tyle, co wskazuje miernik na rysunku Nordena. I z iluś takich prób jedna da w końcu rezultat godny uwagi

„... zanim się ten śpiew złoży składnie,
długo, z mozołem się łazi
i cicho brzechta się w serca bagnie
głupi karp wyobraźni"

Towarzysz Majakowski miał na myśli poetów, ale równie dobrze odnosi się to do wyrobników nauki.

Po sesji podstawiono autokary, przed nami Brugia. „Turysto, jeśli masz mało czasu, nie wstępuj do Brugii!" — głoszą przewodniki. Jeśli masz mało miejsca, nie pisz o Brugii. Na tym więc relacja z czwartku się kończy.

(Koniec odcinka 2. — cdn.)

DZIELNICA, w której mieszka Marek, nazywa się Eltham, ale uważa się tutaj, że nie jest to już Londyn. Londyn to bowiem tylko City; w dużym przybliżeniu powiedzielibyśmy, że odpowiada to naszemu centrum lub staremu miastu. Ale jest to podobieństwo tylko formalne, ponieważ City to prawdziwe państwo w państwie. Aby nie wyglądało to na truizm, parę słów wyjaśnienia.

City, jak wszystko w Wielkiej Brytanii, zostało ukształtowane przez wyjątkową na Wyspie tradycję i historię, w której nie było niespodziewanych zakrętów, zwrotów, zaprzeczeń i niszczenia tego, co stare. Toteż w systemie prawnym, który obowiązuje w tej niewielkiej enklawie (2,6 kilometra kwadratowego), jest wiele archaizmów, dziwności i zwyczajów nie usankcjonowanych żadnym przepisem, ale istniejących dlatego, że przetrwały wieki i nikt nie widzi powodów, aby je teraz zmieniać. Na przykład żaden oddział wojskowy nie może przemaszerować lub przejechać przez City bez uprzedniej zgody magistratu. Defilować zaś mogą tutaj tylko te oddziały, które były kiedyś rekrutowane spośród mieszkańców City. Mają one przywilej maszerowania z bagnetami nałożonymi na karabiny i z rozwiniętymi sztandarami.

Aby było jeszcze dziwniej, City ma osobnego burmistrza, który nazywa się Lordem Majorem Londynu i który w pewnych, usankcjonowanych tradycją sytuacjach jest osobą ważniejszą niż przewodniczący Rady Wielkiego Londynu, czyli burmistrz całej metropolii. Ten pierwszy bowiem przyjmuje, w imieniu miasta, najdostojniejszych gości z zagranicy. Jemu też, jako Admirałowi Portu Londyńskiego, podlegają doki, chociaż sam port dawno temu przeniósł się w pobliże ujścia Tamizy, a słynne, stare doki są już nieczynne i stanowią wyłącznie atrakcję turystyczną.

City zatem to autonomiczna część Wielkiego Londynu, która pozostaje osobnym tworem administracyjnym. Ma nie tylko własną policję i sądy, ale nawet odrębną publiczną opiekę medyczną. Posiada własny herb: krzyż św. Jerzego, patrona Anglii, z mieczem św. Pawła, który jest patronem City. Tarcza herbowa podtrzymywana jest przez dwa smoki, które trzymają w pazurach wstęgę z łacińskim mottem: „Domine Dirige Nos", co znaczy: „Panie, kieruj nami".

Granice City nie zmieniły się od dwóch tysięcy lat, czyli od czasów rzymskich, a od paru stuleci nie zmienia się funkcja City jako jednego z ważniejszych centrów handlowych i finansowych świata — i do niedawna — jako najważniejszego ośrodka prasowo-wydawniczego w Wielkiej Brytanii. Redakcje, agencje i firmy wydawnicze wyniosły się wprawdzie parę lat temu ze słynnej Fleet Street, ale City obroniło swoją zasadniczą funkcję, jaką jest handel, ubezpieczenia i operacje giełdowe.

Londyn, obok Zurychu pozostaje nadal największym ośrodkiem handlu złotem, a tutejszy rynek ubezpieczeniowy uważany jest za najsolidniejszy i największy na świecie. Najsłynniejszym towarzystwem ubezpieczeniowym w City, i na świecie, jest znany wszędzie Lloyd's. Jak pisze Zbigniew Boniecki w popularnej książce „Londyn", firma ta wzięła swój początek z kawiarni Edwarda Lloyda, gdzie zbierali się kupcy, zainteresowani ubezpieczeniem swoich ładunków i statków pływających od odległych krajów.

Od roku 1734 ukazuje się regularnie „Lista Lloyda", najstarsza gazeta londyńska i pierwsza, która miała własnych korespondentów zagranicznych. U Lloyda można dzisiaj ubezpieczyć się od wszystkiego: od zwalenia się na głowę satelity, ujemnych skutków działania reaktora atomowego, a nawet ryzyka związanego np. z utratą brody. Jako anegdotę podaje się, że na sto tysięcy funtów ubezpieczył się właściciel pewnego kina, wyświetlającego horrory, na wypadek nagłej śmierci z przestrachu jakiegoś mniej odpornego widza. Ale nawet firma z taką reputacją czyni czasami wyjątki. Do takich należała w roku 1966 odmowa ubezpieczenia dziewictwa pewnej Włoszki, która wyjeżdżała z rodzinnego kraju do pracy w Republice Federalnej. Jak przystało na prawdziwy wyjątek od zasady, fakt ten szeroko komentowany był przez brytyjskie gazety.

NOTATNIK ANGIELSKI (2)

Andrzej W. Pawluczuk

W City pracuje około pół miliona ludzi, ale stałych mieszkańców jest tutaj zaledwie 6 tysięcy. To wyznacza nie tylko wygląd tej dzielnicy, ale i jej charakter. Przeszedłem na przykład całą ulicę Aldwych i kawał Fleet Street w poszukiwaniu sklepu spożywczego, i — bezskutecznie. Chciałem kupić coś do picia, a że musiałem ostro oszczędzać, wolałem znaleźć sklep, niż wstępować do pubu. A upał był potworny, policjanci spacerowali w koszulkach z krótkim rękawem, a ja w wełnianej marynarce pociłem się potwornie. Ubrałem się na tę podróż stanowczo za ciepło; już pierwszego dnia pobytu w Londynie przekonałem się na własnej, mokrej skórze, że to, co mówi się u nas o dżdżystej, zasnutej mgłą Anglii, jest zwykłym stereotypem lub przesądem.

A teraz idziemy wieczorem przez bogaty, kapiący od złota Strand (co rusz elegancki i ogromny sklep jubilerski) i Marek uczy mnie, jak powinienem „czytać" Londyn, aby ustrzec się takich pomyłek, jak szukanie w City sklepu spożywczego, a w Eltham — na przykład — złotnika. Tutaj wszystkim rządzi rynek i jeżeli zapamiętam tę podstawową rzecz, to będę wiedział, że towar sprzedaje się tam taki, jakiego poszukują w danym miejscu klienci. Proste? Proste, ale wschodniemu Europejczykowi trudno z dnia na dzień wyrzucić z umysłu schematy myślowe, jakie wytresowała w nim przez czterdzieści lat gospodarka zwana planową, a której udało się skutecznie zrealizować tylko dwa plany: kolejki po wszystko i brak wszystkiego.

Drogę od Bush House do stacji metra i dworca kolejowego Charing Cross pokonujemy pieszo, chociaż uginam się pod mocno wyładowaną torbą. Ale mniej czasu stracimy idąc, niż czekając na autobus i jadąc jeden przystanek.

Charing Cross to nieduża stacja, która obsługuje jedynie ruch lokalny, co w praktyce oznacza Wielki Londyn i miasteczka leżące na jego południowych obrzeżach. Metro londyńskie nie jest tak dobrze rozbudowane jak paryskie, którym dojechać można do każdej dzielnicy, a niektórymi liniami — także do miast satelickich. Toteż po brytyjskiej metropolii podróżuje się pociągiem naziemnym, przypominającym nieco warszawską WKD.

Chociaż na warunki londyńskie mała — lokalna stacja Charing Cross przewyższa rozmiarem warszawski Dworzec Centralny, który obsługuje pociągi z zagranicy. Bardzo często przybysz z naszej części Europy zaskakiwany jest tutejszym ogromem: pomników (a jest ich prawdziwe zatrzęsienie), pałaców, kościołów i wszelkich innych budowli użyteczności publicznej, z dworcami kolejowymi włącznie. Te ostatnie pełnią nie tylko funkcję gigantycznych poczekalni; pełno w nich różnorodnych sklepów i sklepików, kiosków, barów, i chociaż przez Charing Cross przepływa więcej ludzi niż przez nasz Centralny czy Wschodni, nigdy nie stałem w kolejce po bilet dłużej niż dwie — trzy minuty. Wszystko jest tu nastawione na wygodę podróżnych i szybkość obsługi, wszystkie okienka są czynne, a pracownicy nauczeni obsługiwania cudzoziemców, którym w kilku słowach potrafią wyjaśnić każdą wątpliwość.

Zanim wylądowałem w Anglii, miałem obawy, czy moja nie najlepsza angielszczyzna będzie przez Brytyjczyków rozumiana. Okazało się, że była, co stało się nie tyle zasługą mojej starannności, lecz zapewne tego, że przyjeżdża tutaj dużo turystów i wielu Brytyjczyków poznało tę specyficzną mowę, jaką stanowi prymitywne, ponieważ uproszczone międzynarodowe wydanie angielskiego.

Po dwudziestu minutach spokojnej i cichej (nie słychać stukotu kół o złącza szyn) jazdy jesteśmy w Eltham. Do wyjścia ze stacji ustawiamy się w ogonek, ponieważ opuszczając dworzec trzeba oddać wykorzystany bilet albo pokazać abonament. Pytam Marka, jakimi konsekwencjami grozi brak biletu i jestem zdumiony jego odpowiedzią.

— Nie zakłada się tutaj, że chciałeś wyłudzić darmowy przejazd, a zadałem i nie myśli się, aby za to ukarać. Po prostu płacisz przy wyjściu cenę biletu i tyle.

Koło miejscowego dworca znajduje się mini-centrum handlowe: magazyn spożywczy, sklep z narzędziami ogrodniczymi i nasionami, kiosk papierniczo-gazetowy i fryzjer. A dalej ciągną się kilometrami identyczne ulice, zabudowane identycznymi domkami szeregowymi, jakie często widujemy w angielskich filmach. Przed wejściem — strony ulicy — mikroskopijny ogródek: trawa, kilka krzewów lub drzewa i trochę kwiatów. Prawdziwy ogród znajduje się od tyłu, za domem i jest miejscem zabaw dzieci i odpoczynku dorosłych. Wbrew naszym mniemaniom, nie są to ogródki specjalnie wypielęgnowane, gdyż chodzi tu nie o pokazanie się przed sąsiadami, ale własną wygodę.

Zdecydowana większość londyńczyków mieszka w takich jednopiętrowych domkach. Bloki nie przyjęły się jako droższe w budowie i eksploatacji, i bardziej kłopotliwe w remontach. Bloki są też szybko dewastowane, ponieważ lokatorzy nie czują się właścicielami i nie dbają o utrzymanie wokół siebie odpowiedniego standardu i czystości.

Toteż peryferyjne dzielnice Londynu, wyjąwszy centra handlowo-usługowe, są w zasadzie identyczne i składają się z jednakowych ulic. Robi to, zwłaszcza na tle miast polskich, które dudnią od huku ciężarówek i traktorów i gdzie powietrze śmierdzi od spalin i brudu, wrażenie spokoju i sielskości. Jest tutaj niesamowicie cicho, zielono i pusto. Samochody przejeżdżają z rzadka, prawie nikogo nie widać na ulicy. Za to słychać zewsząd ptaki, co w naszych miastach możliwe jest tylko na przedmieściach, a i to raczej o świcie, zanim ciężki sprzęt wszelkiego rodzaju nie opanuje jezdni.

Nie wiem, na czym to polega, że polskie samochody, a zwłaszcza ciężarówki, wydają tyle huku, pisku, smrodu i podskakują na asfalcie, którego uparcie nie potrafimy kłaść w Polsce równo, telepią się i stukoczą, jakby miały się za chwilę rozpaść. I nie wiem, jak w Londynie dowożą zaopatrzenie do sklepów, których mają ze sto razy więcej niż my, skoro prawie zupełnie nie widuje się w angielskich miastach ciężarówek i ciągników.

Londyn, poza centrum, jest więc niski i cichy. Zdawałoby się (a takie jest polskie myślenie o budowaniu miast), że taka zabudowa powinna robić wrażenie ciasnoty i natłoku, tymczasem dzieje się akurat przeciwnie. Wbrew socjalistycznej propagandzie, że spekuluje się tam ziemią w miastach, ponieważ jej cena jest na Zachodzie niebotycznie wysoka, odnoszę wrażenie, że raczej szafuje się tutaj terenem, zamiast go oszczędzać.

Nie widać tej typowej w naszym kraju pazerności, która owocuje bezrozumną dewastacją terenów rolniczych i parków miejskich. Dlatego Londyn aż kipi od zieleni, od rozległych parków i wielkich, ciągnących się setkami metrów trawników. Byłyby to idealne tereny pod zabudowę, bo tzw. uzbrojenie i cała infrastruktura jest w zasięgu ręki. Jednak w tej kapitalistycznej — rzekomo — pogoni za pieniądzem nie byłoby możliwe coś takiego, co na przykład w Białej Podlaskiej zrobiły władze nowego województwa. Mianowicie wycięto tam w pień istniejący od przedwojnia ogród jordanowski dla dzieci, aby postawić w tym miejscu kino i gmach Urzędu Wojewódzkiego.

Ale dosyć tych rozmyślań o tutejszym porządku urbanistycznym. Po dziesięciu minutach szybkiego marszu znajdujemy się przed domem Marka, który jest takim samym domem jak tysiące innych i tak samo jak pozostałe, został kupiony na dogodne raty. Na kredyt kupuje się tutaj prawie wszystko, a na pewno takie „grubsze" rzeczy, jak mieszkania, samochody i droższe meble. Dlatego każdy, kto podejmuje stałą pracę, może po dwóch latach uchodzić za człowieka w pełni urządzonego, który posiada własny dom i nie najgorszy samochód. Albo powiedzmy inaczej: własny dom i auto należą tutaj do podstawowego standardu, zaś podział na ludzi bardziej i mniej majętnych funkcjonuje na innej niż w Polsce płaszczyźnie. Nie dom w ogóle, ale jaki dom i w jakiej dzielnicy.

Eltham, gdzie państwo Marek i Patrycja Cajmerowie z dwójką dzieci mieszkają od czterech lat, było jeszcze w latach pięćdziesiątych dzielnicą typowo robotniczą. Ale że robotników jest w krajach wysoko rozwiniętych coraz mniej, coraz mniej jest także robotniczych dzielnic. W Eltham zaczęli się od jakiegoś czasu osiedlać inteligenci, głównie nauczyciele i urzędnicy średniego szczebla, i od około dziesięciu lat jest to dzielnica uważana za dobrą. Tutejsi mieszkańcy są zatem typowymi przedstawicielami klasy „średniej — średniej" i sam Marek skromnie przyznaje, że i jego można do tej klasy zaliczyć. Dla kogoś, kto przyjechał do Anglii zaraz po studiach, bez pieniędzy i układów, który zaczynał od posady kelnera, a po pięciu latach został dziennikarzem w BBC, jest to awans ogromny i szybki.

Zostaję przedstawiony Patrycji (dzieci już śpią), która wskazuje mi pokój na samej górze, gdzie mam się rozgościć. A jak się rozpakuję i trochę odświeżę, mam zejść na dół, do saloniku, na pogawędkę i szklaneczkę whisky.

(cdn.)

Policjanci na Strandzie w upalny dzień majowy
Fot. Andrzej W. Pawluczuk

KONSUL I OSŁY

Henryk Makarski

ZWALI go konsulem Gaciano, bo wykształcenie i pochodzenie miał bliższe swojskim gaciom niż salonom. Ale łeb do interesów to on miał magisterski.

Jesienią 1987 roku wydział do walki z przestępstwami gospodarczymi WUSW w Rzeszowie uzyskał informację, z której wynikało, że niejaki Ryszard G. podejmuje się załatwiania wiz wjazdowych do USA różnym osobom zamieszkałym na obszarach Polski południowo-wschodniej. Postanowiono bliżej przyjrzeć się panu Ryszardowi. Z owych obserwacji wyłonił się portret daleki od ideału.

32-letni absolwent szkoły zawodowej (specjalność: kierowca — mechanik) zamieszkiwał w podrzeszowskiej wiosce, czerpiąc utrzymanie z rolno-ogrodniczej gospodarki ojca multimilionera, do której uprawiania zbytnio się nie kwapił. Postanowił bowiem dorobić się szybciej i łatwiej. Czas mijał mu na obmyślaniu strategicznych planów na przyszłość. Tymczasem dorobił się żony i pięciorga dzieci w wieku od roczku do dwunastu lat, no i kilku wyroków. Karano go za zagarnięcie mienia, kradzież drewna, znieważenie, zmuszanie do zaniechania czynności prawnych. Opinia środowiska: typowy pasożyt ze skłonnością do nadużywania alkoholu i podupadłą gospodarką własną o powierzchni 1,5 ha. Często wyjeżdża ze wsi różnymi samochodami, nie wiadomo dokąd...

Wszystko zaczęło się w 1985 roku, kiedy Szczepan, brat Ryśka, podjął starania o wyjazd do USA. Z uzyskaniem zaproszenia, paszportów dla siebie i żony oraz wiz nie miał kłopotu, więc legalnie opuścił kraj rodzinny i zamieszkał w wymarzonym raju milionerów. Rysio zwietrzył okazję do zbicia kapitału na gładkiej emigracji brata i bratowej. Rozpowiadał wszem i wobec, że ów pomyślny wyjazd jest wyłącznie jego zasługą, bowiem bratowa, jako osoba w zaawansowanej ciąży, nie powinna otrzymać wizy, a jednak ją otrzymała. To on, Ryszard, człowiek z wielkimi znajomościami w kręgach konsularnych, załatwił sprawę. I potrafi pomóc każdemu, kto ma kłopoty, oczywiście za drobną opłatą w walucie wymienialnej.

Przystojny, elokwentny, zaczął zdobywać względy kobiet. To one otoczyły go famą wszechmogącego. Flirtował z nimi w hotelach i musiał w sobie mieć coś takiego, że dopłacały mu do tych igraszek. Mówi się, że uwodził nawet niezwykle urodziwą, byłą zakonnicę.

NARZECZONE

— Mam 26 lat, wykształcenie podstawowe i dobrą pracę w firmie polonijnej. Poznałam Ryszarda w lesie, bo on w lesie organizował imprezy, to znaczy ogniska z pieczeniem kiełbasek i piciem wódki. Podawał się za kawalera i ważnego urzędnika WRN. Dziwiło mnie, że urzędnik, a ma tyle wolnego czasu, ale on na ucho mi wyjaśnił, że jest w misji specjalnej i żeby o tym nikomu ani mru-mru. Jesienią mojego brata wezwali do wojska. Zapytałam G., czy nie mógłby załatwić, by brata przenieśli gdzieś bliżej Rzeszowa. Powiedział, że tak, ale będzie mnie to kosztowało transporter wódki i moją obecność na całe trzy dni. Co to znaczyło, nie wiem, ale chyba, że chce się ze mną kochać. Powiedział, że już na to konto popił z wujkiem, wojskowym, i kiedyś zaproponował telefonicznie, że teraz moja kolej, że musimy się zabawić w intencji brata. No to zgodziłam się. Przyjechał po mnie nie byle jakim samochodem, bo mercedesem — taxi. Bawiliśmy się w zajeździe ze znajomymi, potem poszłam na górę spać. On się dobierał, ale oczywiście się obroniłam. Uważałam, że jak przedtem mnie całował w taxi, to już wystarczy. Bo ja mam zasady, proszę pana! — wyprostowała się na krześle sympatyczna blondynka o cukierkowatej twarzyczce Marilyn Monroe w skali 1:2.

— A ja... Ja nie mogę tego ukrywać, że byłam oficjalną kochanką Rykarda. Rykardo to mi normalnie imponował licznymi wyjazdami i rozrzutnym trybem życia. Ale pieniędzy do ręki to on mnie nie dawał... — wyszeptała scenicznie krępa brunetka o południowej urodzie.

Pan Ryszard zmieniał narzeczone tak często jak konspirator poglądy. Potrafił otumanić nawet te, które nie przeprowadzał przez łóżko.

— Pan Rysio był bardzo uprzejmy. Jak zainkasował ode mnie te 300 dolarów, to dał mi taki znaczek w postaci spinki do włosów, na końcu było takie odwrócone „S", odwrotne takie. Kazał mi ten znaczek przypiąć do paszportu i powiedział, że jak to zobaczą w konsulacie, to zaraz ktoś ważny mną się zajmie. Chodziłam z tym znaczkiem po konsulacie, ale nikt na mnie uwagi na zwrócił. Ja miałam nawet pewne obiekcje co do jego prawdomówności od początku, bo on nosił taki ordynarny krawat „śledzik". No i niby facet pod krawatem, a paznokcie miał długie i brudne. Ale on potrafił mówić tak jakoś przekonywająco, że faktycznie uwierzyłam w jego możliwości. W końcu powiedział, że konsul się zmienił, a ja przecież rozmawiałam z konsulem i wiem, że jest ten sam! — pisała pulchna mężatka w wieku dojrzałym.

SCENARIUSZ

Raz telefonicznie poprosił brata o zaproszenie dla Tatiany H. i rzeczywiście Szczepan takie zaproszenie przysłał. To wzmocniło pozycję Ryszarda. Posiadał nawet wizytówki z nazwiskiem, adresem i numerem telefonu w wiejskiej rezydencji. Rozdawał je „klientom", by wzbudzić zaufanie. I wzbudzał...

Sabina T. bez skutku dwukrotnie starała się o wyjazd do męża i córki. Poprzez osoby trzecie dotarła do konsula Gaciano. Obiecał, ale za 1500 dolarów USA; na rękę — 300 dolarów zaliczki na opłacenie pośredników, którzy mieli wymazać z pamięci komputera zastrzeżenie, jakie zostało umieszczone przy jej nazwisku. Minęły dwa tygodnie od przyjęcia zaliczki i pliku dokumentów. Sabina T. wynajęła taksówkę i zawiozła Ryszarda G. do Krakowa. Tam pobrał wniosek wizowy, wypełnił i kazał jej z tym iść do konsula, u którego „wszystko jest jak najbardziej załatwione". Jak było do przewidzenia, otrzymała kolejną odmowę. Obiecał napisać odwołanie do Warszawy i wyjaśnić sprawę w ciągu miesiąca. Tylko, żeby milicja się nie dowiedziała, bo wtedy, mó się rozumieć, ona poniesie odpowiedzialność prawną za nielegalny obrót dolarami.

Scenariusz taki powtarzał się wielokrotnie: odmowa, przepadek dolarów i gorzkie milczenie w obawie przed milicją. Halinę E. aż trzy razy woził do Krakowa: dwukrotnie pociągiem i raz taksówką. Podjeżdżali przed konsulat, ona pozostawała na ulicy, on wchodził na chwilę, wracał i oświadczał, że nie ma mężczyzny, z którym był umówiony. Halina E. i tak miała szczęście; w czasie jego nieobecności udało się jej odzyskać swoje dokumenty: paszport, zaproszenie, zaświadczenie o wysokości konta dewizowego, zaświadczenie o urlopie w zakładzie pracy, prawo jazdy i dowód rejestracyjny samochodu. Dolary przepadły.

— Wszedłem do środka, a G. poczekał przed budynkiem konsulatu — opowiada Adam P. — Gdy portier zobaczył w moim paszporcie pieczątkę odmowy, stwierdził, że muszę odczekać rok. No i nie wpuścił mnie dalej. „Oddaj dolary oszuście!" — powiedziałem do G. Ale on tylko mnie zwodził, uspokajał. Kilka razy telefonowałem do niego i nawet byłem osobiście. I nic.

— Otrzymałem odmowę — relacjonuje Józef F. — ale teściowa skontaktowała mnie z Ryszardem G. Znajomi sugerowali, że on jest nawet chyba krewnym konsula oraz częstym gościem konsulatu USA, gdzie porusza się jak we własnym domu. Upływający termin ważności kolejnego zaproszenia był dla G. — jak sam stwierdził — nieistotny. Za 300 dolarów podjął się załatwić wizę. G. kilkakrotnie zapewniał teściową, mizdrząc się do niej, że sprawa jest na dobrej drodze. Oczekuje właśnie na numer w kolejce, ale może się to nieco przeciągnąć z uwagi na sezon urlopowy. W sierpniu 1987 roku G. w samochodzie oddał mi dokumenty: „Wszystko załatwione, zgłoś się pan osobiście po wizę, no!". Ale i tak nie pojechałem, bo uznałem, że to lipa. Przecież nie wpłynęło z konsulatu USA żadne powiadomienie o odbiorze wizy...

„POŚREDNIK"

Z Januszem L. sprawa była bardziej skomplikowana. Zaczepił go G. w pobliżu konsulatu, wysłuchał, obiecał zaradzić odmowie. Oczywiście za 350 USD i dostarczenie dodatkowych dokumentów: dowodu osobistego żony, aktu ślubu, aktów urodzeń dzieci, zaświadczenia o stanie majątkowym, dwóch zdjęć, oraz... zaświadczenia z parafii, potwierdzonego przez proboszcza, że jest dobrym, wierzącym katolikiem.

Janusz L. postanowił podobną metodą zapracować na swoje wizowe wydatki i „zagaił" Eugeniusza S. „Zaśpiewał" Eugeniuszowi S. aż 1000 dolarów, jako kwotę żądaną rzekomo przez Ryszarda G. „Pośrednikowi" zrzedła mina, gdy okazało się, że obaj znaleźli się na przysłowiowym lodzie. Po dwóch miesiącach, zaniepokojeni brakiem efektów, pojechali na wieś szukać konsula Gaciano. Jego oczywiście nie było w domu, więc postanowili zaczekać. Po pewnym czasie nadjechał mercedesem - taxi. Na widok nieproszonych gości kazał taksówkarzowi natychmiast zawracać. Pościg, nieskuteczny zresztą, trwał dość długo, wzbijając na polnych drogach tumany kurzu. Na pytanie taksówkarza, w imię czego ta ciuciubabka, Ryszard G. odrzekł: „W ch... granie — też zadanie!".

Na tym sprawa się nie zakończyła. Ryszard G. z rozbrajającą bezczelnością — po odesłaniu obu panom paszportów drogą pocztową — zaproponował im listownie swoje usługi w ponownych staraniach o wizę! Zaproszeń i dolarów nie udało im się odzyskać, choć jeden z nich podawał się nawet za funkcjonariusza MO. „Pośrednik" jak niepyszny zwrócił Eugeniuszowi 650 USD. A po pewnym czasie dowiedzieli się, że Ryszard G. jest aresztowany.

OPOWIEŚCI O FRAJERACH

Znamienny był wzrost apetytu Ryszarda G. Stawkę podnosił do 1000 dolarów, a ludzie wręczali mu zaliczki bez pokwitowania. Na przykład panu B. wręczył kopertę zaklejoną z napisem „Konsulat USA, pan Jurek", przeznaczoną dla portiera. Portier po przeczytaniu korespondencji zwrócił „klientowi" uwagę, że nie życzy sobie więcej takich wizyt.

Po każdym fiasku G. zwlekał, obiecywał dodatkowe terminy załatwienia sprawy, wymyślał najbardziej karkołomne historyjki. Jedną z najzabawniejszych była ta z maszyną do pisania. Otóż Andrzejowi T. kazał zapłacić aż 1700 USD, a to ze względu na stopień trudności sprawy: odciśnięta już w paszporcie pieczęć odmowy. Ryszard G. zainkasował zaliczkowo 300 dolarów, nawet pokwitował i własnoręcznie wypełnił wniosek wizowy, w rubryce „osoba wypełniająca" czytelnie się podpisując. Następnie kazał zamówić sobie taksówkę do Krakowa i podczas jazdy zabrał się do pracy nad pismem polecającym. Na kolanach trzymał walizkową maszynę do pisania i zaglądając co chwila do słownika polsko-angielskiego, pracowicie „produkował" list do konsula. Przy tym dość intensywnie rozjaśniał sobie umysł gorzałą... Gdy T. przekazał list portierowi, a ten konsulowi, nadzieje na wizę prysły. Konsul uśmiał się serdecznie, odczytując bezsensowne wypociny, w których najczęściej powtarzało się słówko „EXPRESION!", co miało oznaczać pilność sprawy. Oczywiście pan T. chciał odzyskać swoje dolary, ale...

Jadąc taksówką do Krosna Ryszard G. zaproponował swoje usługi taksówkarzowi. Ten akurat nie miał takiej potrzeby, ale skontaktował G. z kolegą po fachu. Celem „wzmocnienia" sprawy G. polecił klientowi założenie konta w PKO SA. Skończyło się na tym, że stosowne zaświadczenie G. przerobił tak, iż przy pomocy maszyny do pisania literę „N" zastąpił literą „A" oraz dopisał: „a także posiada konto «N» w wysokości 795 USD". Do konsulatu wszedł najpierw G., by — rzecz jasna — załatwić „wejście" taksówkarzowi. Oczywiście — odmowa. Na tej transakcji G. zyskał tylko 200 dolarów, ale za to wiele razy jeździł — bezpłatnie — taksówką klienta do Krakowa w różnych sprawach.

Opowieści o frajerach, którzy oprócz 300 dolarów tracili słone kwoty w złotówkach (kurs taxi Rzeszów — Kraków kosztował wówczas 10 tys. zł) można mnożyć... Wspomnijmy jeszcze tylko niejakiego Jeremiego S., którego G. naciągnął na 1000 USD. A gdy ten usiłował rozczulić konsula Gaciano opowieścią o chorobie żony i dolarowych kosztach leczenia, G. natychmiast zaproponował ofierze pomoc w dotarciu do lekarskich promientów, za dodatkową opłatą, oczywiście.

Ryszard G. chwytał różne okazje. W każdym potrzebującym bliźnim widział dojną krowę. I — najczęściej — miał rację. Kiedy mimo obiecanek kolejny interesant został ukarany przez kolegium do spraw wykroczeń za jazdę po pijanemu, Ryszard G. znalazł natychmiastową odpowiedź: „Cóż to jest te 40 tys. grzywny i rok zatrzymania prawa jazdy! Gdyby nie ja, byłoby znacznie gorzej!".

W drobniejszych sprawach i prowizje były drobniejsze, ale G. nie był wybredny. Podjął się nawet pośrednictwa w przyjęciu dziecka do przedszkola. „Przyjmą na dostawkę, ale to będzie kosztowało 1 kg kawy i koniak!" Klientka zrezygnowała z „usługi", a G. twierdzi, że jeszcze postawił jej kawę w kawiarni hotelu „Rzeszów", co naraziło go na straty...

— Jak Ryszard G. drugim razem wyszedł z konsulatu, to miał jakieś broszurki i kolorowe foldery ukazujące krajobrazy Stanów Zjednoczonych. Mówił, że otrzymał je po znajomości od samego konsula... — zeznał z przejęciem Marek Z., człowiek światły, z dyplomem magistra inżyniera.

Wyraźnie nie powiodło się Ryszardowi G. w wydziale paszportów WUSW. Za 500 USD (oraz 1500 za wizę) obiecał pomóc niejakiemu B. Ten czekał na paszport od dawna i doczekał się legalną drogą. Zauważył przy tym, że data wystawienia paszportu jest o tydzień wcześniejsza od rozmowy handlowej z G. Wyśmiał więc Ryszarda G. żądającego dolarów za pośrednictwo. Ten zdenerwował się okrutnie, wymyślając na poczekaniu kolejną bajeczkę i grożąc represjami w konsulacie.

Ryszard G. oczywiście nie miał żadnych znajomości w konsulacie USA w

Dokończenie na str. 13

KTOKOLWIEK WIE...

BYŁ rok 1941 może 1942. Represje wybranego narodu wobec narodu skazanego przez naród wybrany na zagładę nasilały się. Zaczęły się pierwsze likwidacje gett. Lubelskie wykańczano, począwszy od 16 marca 1942 roku do 9 listopada tegoż roku, kiedy rozstrzelano mieszkańców tzw. małego getta na Majdanie Tatarskim. Duże, obejmujące teren Starówki, już nie istniało. I wtedy właśnie, w tym horrendalnym czasie, do kościoła Dominikanów trafił ten album. Przyniósł go Żyd i prosił o przechowanie. W ostatnim odruchu instynktu samozachowawczego, nie mogąc zapewnić bezpieczeństwa sobie i bliskim, chciał ocalić pamięć. Prosił polskich zakonników o ocalenie z holocaustu choćby tylko kilkunastu zdjęć.

Dzięki uprzejmości przeora klasztoru album trafił w nasze ręce. Publikujemy część fotografii w nadziei, że może ktoś kogoś na nich rozpozna. Charakter zdjęć wskazuje, iż zostały wykonane najprawdopodobniej w czasie jednego spaceru po Lublinie, a ich większość na ulicy Lubartowskiej i Podzamczu.

Trudno jest datować fotografie, ale pewne okoliczności pozwalają przypuszczać, że wykonano je późną wiosną 1939 roku. Najczęściej pojawia się na zdjęciach dziewczynka w jasnej sukience. Nie jest wykluczone, że była fotografowana przez kogoś bliskiego. Może ojca?

Publikujemy zdjęcia z albumu nie tylko w nadziei, iż odnajdzie się ktoś na nich ukazany. Są one także dokumentem historycznym, pokazującym Lublin, jakim był, a jakim już nigdy nie będzie. Żydzi zniknęli z lubelskiego pejzażu w listopadzie 1942 roku po stałej ich obecności od XIV wieku.

Lata powojenne również nie okazały się sprzyjać odbudowaniu lubelskiej społeczności żydowskiej choćby w mikroskali. Pogrom kielecki 1946 roku, dokonany na ludziach, którzy ledwie co powrócili z obozów koncentracyjnych lub wojennej tułaczki, spowodował eksodus w skali całego kraju. Rok 1968 dopełnił reszty.

Jeszcze kilka(-naście?) lat i w Polsce nie będzie Żydów w ogóle. Paradoks polega na tym, że stanie się to w kraju, w którym byli obecni od czasów Mieszka I, który był ich ojczyzną z wyboru, a przez wieki nawet Ziemią Obiecaną. W tej rzeczywistości szczególną rolę pełnił Lublin. Był stolicą życia duchowego polskiego żydostwa, a z racji kwitnących tu nauk talmudycznych — zwany także „polską Jerozolimą" lub „małą Jerozolimą".

To, że pokazujemy te fotografie, jest naszym przypomnieniem o przeszłości i historii. Historii Polski tworzonej nie tylko przez samych Polaków, lecz i inne narody, którym los wyznaczył miejsce obok nas.

Wszystkich, którzy mogą cokolwiek wiedzieć o publikowanych fotografiach, rozpoznać kogokolwiek z nich lub pomóc w dokładniejszym ustaleniu miejsc, gdzie zostały wykonane, prosimy o kontakt z redakcją.

Waldemar Piasecki
Reprodukował: **Waldemar Stępień**

WYBORY: SZANSA CZY ZAGROŻENIE DLA POLSKIEJ GOSPODARKI?

Tomasz Mickiewicz

SUKCES wyborczy „Solidarności" jest oczywisty i nieodwołalny. Dla tych, którzy przegrali, pozostaje dwa wyjścia: bądź uszanować wolę większości społeczeństwa, bądź montować „opozycję pozaparlamentarną". „Opozycja pozaparlamentarna", jeżeli powstanie, będzie oznaczać zmniejszenie autorytetu Sejmu i Senatu. Środowiska opozycyjne, które bądź wybory zbojkotowały, bądź je przegrały i dążą do ostabienia znaczenia Parlamentu, chcąc nie chcąc, znajdują wspólny cel z tą częścią partii, która jest przeciwna reformom.

Delegaci Komitetu Obywatelskiego nie reprezentują ani nowej monopartii, ani jednolitej orientacji politycznej. Wszystkie organizacje niezależne, które wysunęły w pewnych okręgach w wyborach samodzielnych kandydatów, miały w innych okręgach swoich reprezentantów również na liście „Solidarności". Można oczywiście dyskutować nad proporcjami w podziale kandydatur, nie powinno to jednak przysłaniać spraw zasadniczych z punktu widzenia losów kraju.

Jedyna szansa na pokojową ewolucję od totalitaryzmu do demokracji leży obecnie nie w przenoszeniu konfliktów politycznych poza Parlament, ale w tym, aby wybrane przez nas Sejm i Senat stawały się stopniowo wyłącznym centrum władzy narodowej. Aby ewolucyjne zmiany w Polsce mogły przebiegać dalej, obecnie świeżo stworzony układ instytucjonalny musi okrzepnąć.

Na szczęście społeczeństwo chce być traktowane poważnie i pragnie też, aby wybór, jakiego dokonało, był traktowany poważnie. Powszechne oburzenie, jakie pojawiło się w sytuacji, kiedy zaistniała możliwość, że działacze z Listy Krajowej mogą tylnymi drzwiami wejść do Sejmu, dobrze świadczy o instynkcie politycznym społeczeństwa. Społeczeństwo, skreślając Listę Krajową (gdzie nie było faktycznego wyboru), a potem broniąc swojej decyzji, broniło jednocześnie rzetelności wyborów. Gdyby to się nie udało, autorytet Zgromadzenia Narodowego ległby w gruzach. Na szczęście władze wykazały w tej sprawie poczucie rzeczywistości.

JEDNYM z podstawowych wyzwań, przed jakimi stanie nowo wybrana władza ustawodawcza, będzie obecny stań polskiej gospodarki i konieczność reform w tej dziedzinie.

W nowo wybranym Parlamencie można przewidzieć trzy podstawowe warianty rozwoju sytuacji:

a) „Konfrontacyjna" rewindykacja.

„Solidarność" stoi przed potencjalnym niebezpieczeństwem uchylenia się od odpowiedzialności za reformy gospodarcze i ponownego wejścia na terenie gospodarki w schemat rewindykacyjny — ograniczenia swych działań do obrony bezpośrednich interesów płacobiorców, czyli działania jako typowy związek zawodowy w nietypowej sytuacji (w skali całej gospodarki).

W pewnym zakresie działania takie bez wątpienia mogą i powinny być podejmowane. Ich pozytywne skutki mają jednak charakter przejściowy i nic nie pomoże zwiększenie ilości kontroli nachodzących przedsiębiorstwa (proponowana przez niektórych ustawa o ochronie konsumentów).

Istotnych rezerw poprawy sytuacji nie można też szukać w budżetach MSW i wojska.

Jest oczywiste, że instytucje takie prędzej czy później znaleźć się muszą pod kontrolą społeczną. Kontrola społeczna oznacza, że wiemy, na co są wydawane pieniądze, nie musi jednak oznaczać ograniczenia wydatków na wojsko i milicję. To ostatnie nie zmieniłoby zbyt wiele w sytuacji gospodarczej. Jest poniekąd zrozumiałe, że żądania takie po latach milczenia są stawiane, niemniej mamy tu do czynienia z postulatem, który uderza bezpośrednio w zaplecze społeczne władzy i sprawia, że czuje się ono zagrożone procesem reform. Gra jest więc w tym przypadku ryzykowna.

b) „Niekonfrontacyjne" łatanie systemu i bardziej sprawiedliwy podział tego, co jest.

Nie ulega wątpliwości, że nawet przy utrzymaniu obecnego systemu gospodarczego wytwarzany dzisiaj dochód narodowy można podzielić bardziej sprawiedliwie. Podobnie jak w poprzednim wariancie, może to przynieść przejściowo pozytywne efekty. Rozszerzenie kontroli nad poczynaniami władzy spowoduje, że pole dotychczasowej patologii i korupcji zostanie ograniczone. Zmniejszy się liczba różnego rodzaju arbitralnych talonów i przydziałów.

Jednak te korzystne efekty będą przejściowe. Bez głębokich zmian w organizacji gospodarki biurokracja gospodarcza zostanie utrzymana, a wraz z nią szerokie pole arbitralnych decyzji. Kiedy obecna odnowa społeczna ustabilizuje się, miejsce działaczy społecznych z konieczności zajmą urzędnicy, a korupcja i bałagan wejdą znów tylnymi drzwiami.

Przykładem na pomysły związane z łataniem systemu jest sprawa częściowej indeksacji. Zamiast likwidować faktyczne źródła inflacji, zastosowano leczenie objawowe. Stworzono następną regulację biurokratyczną, która w dodatku nie uspokoi nastrojów społecznych, co było jej zamierzonym celem. W obliczu rozkręcającej się hiperinflacji, sformułowania o takim „cywilizowaniu inflacji" wydają się w tym kontekście niebezpieczną pomyłką. Ogólnie rzecz biorąc, problem polega na tym, że dla tych, którzy przyjęli za swoją logikę regulowania gospodarki, jedna interwencja rodzi potrzebę następnej. W konsekwencji dochodzimy do biurokratycznego chaosu, w którym nic nie działa w sposób zamierzony, ponieważ bodźców jest zbyt wiele.

c) Głęboka reforma własnościowo-rynkowa.

Na rzecz takiego rozwiązania opuje znaczny procent przedstawicieli Komitetu Obywatelskiego wybranych przez nas niedawno do Parlamentu. Myśli o głębokiej reformie nie są również obce części obozu koalicyjnego. Można się też spodziewać, że liczba zwolenników rozwiązań zdecydowanych będzie w sposób nieuchronny rosnąć wraz z pogarszającym się stanem gospodarki.

Problem polega jednak na tym, że wokół tego rozwiązania narosło sporo mitów i nieporozumień. Wielu ludzi boi się, że reforma rynkowa musi oznaczać obniżony poziom świadczeń społecznych, które i tak są u nas bardzo skąpe. Związek pomiędzy reformą a ograniczeniem poziomu konsumpcji był wielokrotnie sugerowany przez władze. Takiego związku jednak nie ma. Co więcej, istotny sens reformy nie może polegać na niczym innym, jak na tym, aby gospodarka zaczęła pracować dla potrzeb społeczeństwa, a więc dla potrzeb zwiększenia konsumpcji.

Jedynym realnym kosztem społecznym może być natomiast pojawienie się bezrobocia, czyli doprowadzenie do sytuacji, kiedy rzesza urzędników i kontrolerów, których obecna działalność de facto szkodzi gospodarce, będzie dostawać zamiast swojego dotychczasowego wynagrodzenia przyzwoity zasiłek dla bezrobotnych, szukając sobie tymczasem bardziej użytecznego społecznie zajęcia.

Spróbujmy naszkicować główne kierunki reformy gospodarczej, umieszczając je w kontekście stanu obecnego.

POLSKA posiada wiele „niedoszacowanych zasobów", czyli dóbr gospodarczych, które nie są efektywnie wykorzystywane:

a) Mamy bardzo korzystne położenie geograficzne: na przecięciu ważnych szlaków handlowych idących od Bałtyku w kierunku południowym i z Zachodu na Wschód. Znaczenie Polski jako ważnego pośrednika między Europą Zachodnią a potencjalnie olbrzymim rynkiem radzieckim jest coraz bardziej dostrzegane na Zachodzie i obecne kontakty polityczne na wysokim szczeblu mają swój ważny aspekt gospodarczy. Dla EWG silna gospodarczo Polska oznacza otwarcie szerokich możliwości dla własnego handlu.

b) Kosztem wyrzeczeń społeczeństwa dotychczasowy system gospodarczy stawiał na pierwszym miejscu inwestycje i rozbudowę przemysłu. Inwestycje te doprowadziły do powstania liczącej się

POLEMIKA

PRZECIW DEMAGOGII

Andrzej Z. Kowalczyk

ARTYKUŁ ten jest wynikiem głębokiej irytacji. Nic bowiem nie jest dla mnie tak irytujące, jak demagogia, zaślepienie i brak logiki (że tak to delikatnie nazwę), połączone w dodatku w jedną całość. A taką właśnie metodę zastosował Adam Kalbarczyk w swym artykule „Bezrozumna siła zdemoralizowanych mas", opublikowanym w 22. numerze „Relacji".

Jak wynika z lidu, redakcja zdecydowała się na publikację tekstu w nadziei, że wywoła on dyskusję na tak kontrowersyjny i bardzo trudny temat, jakim jest projekt ustawy o prawnej ochronie dziecka poczętego. Istotnie, dyskusja taka wydaje się być bardzo potrzebną. Do dyskusji atoli potrzebni są partnerzy oraz chęć dojścia do w miarę zgodnego stanowiska. A trudno uznać za partnera kogoś, kto — jak to czyni Adam Kalbarczyk — z góry zakłada, iż tylko on ma rację, a wszystkich myślących inaczej określa mianem „ćwierćinteligentów spod różnych znaków orientacji laickich", którzy „starają się narzucić swą bylejakość myślową i (lub) etyczną".

Z takim „partnerem" dyskutować nie sposób z tej prostej przyczyny, iż wsłuchany we własne twierdzenia i przekonany o ich nieomylności, pozostaje głuchym na argumenty drugiej strony. W tej sytuacji mamy tylko dwa wyjścia. Pierwsze to zignorowanie tekstu. I w sprawach mniejszej wagi tak właśnie należy uczynić. Drugim wyjściem jest podjęcie polemiki. Tak właśnie — polemiki, a nie dyskusji, bo dyskutować się nie da. Polemiki obliczonej na to, iż znajdą się czytelnicy znający łacińską zasadę auditur et altera pars i kierujący się nią.

ŻEBY wszystko było jasne, chcę już na wstępie oświadczyć, iż nie jestem zwolennikiem przerywania ciąży. Ściślej mówiąc, jestem przeciwny nadużywaniu prawa do tego. Atoli nadużywanie prawa to jednak coś innego aniżeli samo prawo. Warto to podkreślić, albowiem zwolennicy ustawy o zakazie abortów — a w ich liczbie Adam Kalbarczyk — zdają się owej różnicy nie dostrzegać. Nie chcą przyjąć do wiadomości, iż są takie sytuacje, w których usunięcie ciąży jest dla kobiety naprawdę jedynym wyjściem. Jestem głęboko przekonany, iż znakomita większość kobiet decyduje się na taki zabieg tylko w przypadku bezwzględnej konieczności. Jakoś nie słyszałem o przypadkach usunięcia ciąży z nudów, dla kaprysu czy rozrywki, lub tylko dlatego, że wolno to robić.

Żonglując argumentami — przeważnie demagogicznymi — popierającymi ustawę, jej zwolennicy zdają się nie zauważać jeszcze jednej rzeczy. Tego mianowicie, że zgodnie z obowiązującym w Polsce ustawodawstwem, kobieta ma PRAWO, ale przecież nie OBOWIĄZEK usuwania ciąży. Prawo, z którego może skorzystać lub nie. Zgodnie z własnym sumieniem i przekonaniami.

I kobiety z prawa owego korzystają. Co roku w naszym kraju wykonuje się ok. 300 tysięcy zabiegów przerwania ciąży. Proponowana ustawa — przypomnijmy — przewiduje za to karę pozbawienia wolności, i to zarówno dla przerywającej ciążę kobiety, jak i dla lekarza, który ów zabieg przeprowadził. Uchwalenie ustawy wydatnie przybliżyłoby nas do rządzonej w sposób światły i demokratyczny Rumunii. W kraju tym — jak wiadomo — istnieje absolutny zakaz sztucznych poronień, a za czyn taki grozi Rumunkom wieloletnie więzienie. Dodajmy, iż lekarzowi przyłapanemu dwukrotnie na wykonywaniu aborcji grozi kara śmierci.

Naiwnością byłoby twierdzić, iż uchwalenie rzeczonej ustawy radykalnie wpłynie na zmniejszenie liczby aborcji. To znaczy w statystykach — i owszem — przypadków takich nie znajdziemy. Pozornie zatem wszystko będzie w najlepszym porządku. Nie sądzę jednak, ażeby w rzeczywistości liczba ta wydatnie się zmniejszyła. Zmiana miałaby charakter co najwyżej jakościowy, a nie ilościowy. To znaczy aborcje byłyby nadal wykonywane równie często, z tym że w tajemnicy, w warunkach urągających często zasadom higieny, zagrażających życiu i zdrowiu. Byłyby wykonywane, albowiem — powtórzę to raz jeszcze — nie sądzę, ażeby były kobiety usuwające ciążę TYLKO dlatego, że teraz im to wolno.

Aby zakończyć już rozważanie kwestii prawnych, należy jeszcze tylko dodać, że jeśli ustawa o prawnej ochronie dziecka poczętego miałaby za-

struktury majątku produkcyjnego, która czeka dopiero na racjonalne i pełne wykorzystanie.

c) Jednak naszym najważniejszym zasobem handlowym jest poziom wykształcenia i umiejętności reprezentowane przez polskich pracowników. Ich znaczenie jest tym ważniejsze, że koszty pracy są u nas nadal bardzo niskie w porównaniu z rozwiniętymi krajami przemysłowymi. Mamy więc szansę być konkurencyjni.

Wszystko to stwarza podstawę dla odbudowy gospodarczej i reformy, która może wyprowadzić kraj z pętli zadłużenia i przynieść podniesienie poziomu życia społeczeństwa.

JEDNAK mimo tych korzystnych warunków i znacznego potencjału gospodarka polska jest pogrążona w biurokratycznym chaosie i trapiona plagą regulacji, interwencji i arbitralnych decyzji. Spróbujmy wypunktować główne nieszczęścia trapiące nasz system ekonomiczny i związane z tym istniejące postulaty reform:

a) Mimo trwającej od ośmiu lat „reformy" większość cen jest biurokratycznie kontrolowana. Wiele dóbr ze względów pozaekonomicznych jest sprzedawane po zaniżonych cenach, często poniżej kosztów produkcji. Z kolei ceny innych dóbr, arbitralnie uznanych za luksusowe, są sztucznie zawyżane.

Ponieważ dopiero ceny wolnorynkowe zawierałyby prawidłową informację o zapotrzebowaniu na poszczególne towary i o kosztach, w konsekwencji w gospodarce nie istnieją podstawy dla jakichkolwiek racjonalnych decyzji — nikt naprawdę nie wie, jaka powinna być struktura produkcji zgodna z potrzebami społeczeństwa.

Kontrola cen prowadzi do utrzymywania się nierównowagi — kolejek, marnotrawienia społecznego wysiłku na zajęcia nieproduktywne, związane ze „zdobywaniem" potrzebnych dóbr.

Dlatego pierwszym krokiem reformy gospodarczej powinno być całkowite zniesienie kontroli cen.

b) Niefortunnie rozpoczęty na jesieni 1987 „II etap reformy" przyniósł nam przyspieszenie inflacji. W ubiegłym roku wskaźnik cen towarów konsumpcyjnych wzrósł o 60 proc., a w roku bieżącym umiarkowane szacunki wskazują na możliwość wzrostu rzędu 120—150 proc.

Szybki wzrost cen, w połączeniu z poprzednio omawianą cechą — ich arbitralną, biurokratyczną kontrolą — powoduje, że relacje cen zmieniają się w sposób chaotyczny. To z kolei przynosi wydarzenia takie, jak tegoroczne załamanie w produkcji mięsa: relacje cen zmieniły się w taki sposób, że dla wielu rolników hodowla przestała być opłacalna.

Inny niekorzystny efekt związany jest z tym, że oprocentowanie w bankach jest zaniżone w stosunku do tempa inflacji. W związku z tym ludzie, zamiast oszczędzać w złotówkach, lokują swoje kapitały we wkładach dolarowych, co sztucznie podwyższa cenę tych ostatnich.

Rozwiązanie problemu inflacji będzie możliwe wówczas, kiedy bank emisyjny (zajmujący się wytwarzaniem pieniędzy) zostanie poddany pod kontrolę Parlamentu, a w konsekwencji drukowanie banknotów przestanie być dla rządu najprostszym sposobem finansowania własnych wydatków.

Pozostałe banki — komercyjne — prędzej lub później będą musiały zostać wyłączone spod kontroli rządu i oparte na zasadach samofinansowania. Jednocześnie muszą zostać stworzone prawne regulacje wiążące możliwość udzielania kredytów przez banki ze stanem posiadanych rezerw. Chodzi o to, aby dodatkowe pieniądze bez pokrycia przestały napływać do gospodarki również w formie kredytów, które są zbyt nisko oprocentowane, umarzane itd.

c) Ponad 80 proc. produkcji (dochodu narodowego) pochodzi obecnie z sektora „uspołecznionego".

Równolegle około jednej trzeciej wydatków budżetu państwa wędruje do tego sektora w formie bardzo zróżnicowanego i arbitralnego systemu dotacji. Wydatki na utrzymanie sektora „socjalistycznego" gospodarki powodują, że wysokie jest obciążenie finansowe społeczeństwa (podatki), ponieważ (pomijając inflacyjne drukowanie pieniądza) temu, co państwo wydaje (budżet), odpowiada to, co państwo ściąga od obywateli (podatki).

Przeciętnie oddajemy państwu ponad połowę wypracowanych przez nas faktycznie dochodów. Nie jest to bezpośrednio dostrzegane, ponieważ podatki nie są ściągane bezpośrednio od nas, lecz pośrednio — od przedsiębiorstw.

Reakcją na wysoki poziom podatków jest ucieczka od oficjalnej gospodarki i rosnący sektor „czarny", na który składa się olbrzymia masa usług świadczonych nieoficjalnie, poza kontrolą urzędu podatkowego, i cała rosnąca sfera prywatnego handlu z zagranicą.

Utrzymywanie sektora państwowego powoduje, że zarówno wykorzystanie maszyn i urządzeń produkcyjnych, jak i struktura zatrudnienia jest nieracjonalna, niezgodna zarówno z relacjami kosztów, jak i potrzeb społecznych. Ponieważ nie ma właścicieli czuwających nad prawidłowym wykorzystaniem majątku produkcyjnego, do głosu dochodzą różne interesy partykularne i grupowe.

Struktura produkcji w sektorze państwowym jest silnie skoncentrowana i przez to monopolistyczna. W większości przypadków, całe branże gospodarki są kontrolowane przez państwowe kartele prowadzące wspólną politykę w sferze produkcji, zaopatrzenia i cen. Dzieje się to kosztem jakości i wyboru usług, kosztem konsumenta.

Mimo deklarowanej równości wszystkich sektorów państwo sprawuje kontrolę nad podziałem kluczowych surowców i materiałów, dając priorytet dla produkcji „uspołecznionej". W rezultacie sektor prywatny jest spychany do działalności peryferyjnej, tam gdzie nie pozostaje uzależniony od dostaw surowców, głównie w usługach.

Aby nastąpiła poprawa sytuacji gospodarczej, rozmiary sektora państwowego muszą zostać drastycznie ograniczone, a obecny majątek produkcyjny państwa sprzedany w ręce prywatne.

Z punktu widzenia społecznego nie jest przy tym obojętne, kto stanie się nowym właścicielem. Program prywatyzacji powinien doprowadzić do szerokiego upowszechnienia własności, a nie do jej ponownego skoncentrowania w rękach nielicznych (nomenklatury?). Jednocześnie powinny zostać stworzone preferencje, które przyczynią się do zakupu tytułów własności (akcji) przez pracowników zatrudnionych w danym przedsiębiorstwie.

d) W dobie obecnej reformy rząd stara się realizować sześć priorytetów gospodarczych: produkcja żywności, budownictwo mieszkaniowe, ochrona środowiska, oszczędność materiałów i energii oraz eksport. W rzeczywistości system poszczególnych bodźców jest tak zagmatwany, zmienny i podatny na arbitralne decyzje, że tylko ostatnia preferencja — eksport — wydaje się mieć pewien rzeczywisty skutek.

Po czterdziestu kilku latach ręcznego sterowania gospodarką trudno jest uwierzyć, że wszystkie te funkcje regulacyjne lepiej spełni mechanizm rynkowy. Niemniej, jeżeli chcemy pójść do przodu, to nie ma innej alternatywy.

Reforma gospodarcza musi oznaczać wypieranie biurokracji regulacji i rządu ze sfery gospodarczej i pojawienie się — w miejsce arbitralnych decyzji — rządów prawa, za którymi będzie stał Parlament mający akceptację społeczną.

Ważna jest zarówno zdrowa gospodarka, jak i demokracja. Ich sukces jest jednak nierozdzielny. Jeżeli obecne przemiany nie przyniosą poprawy ekonomicznej, to również proces demokracji zostanie zagrożony.

STATYSTYKA STATYSTYKI

Zbigniew Dzięciołek

LUBIĘ szkołę. W stwierdzeniu tym nie ma nic dziwnego. Po prostu lubię szkołę. Nie jakąś tam francuską, angielską czy, powiedzmy, południowokoreańską, ale naszą polską. Dlatego denerwują mnie coraz częstsze głosy domagające się reformy rodzimego szkolnictwa. Takim malkontentom trudno dogodzić. Krytykują wszystko i wszystkich, nie bacząc na ministerialne i związkowe autorytety. Powracają z uporem maniaka do elementarza Falskiego i kicających zajączków pod miedzą, które niegdyś mały Kazio dodawał i odejmował na lekcjach matematyki. Ba! Twierdzą wręcz, że szkoła jest zbiurokratyzowana, z czym ja osobiście nie mogę się zgodzić. Jest to wierutne kłamstwo, które na przykładzie dziennika lekcyjnego, obowiązującego w szkołach podstawowych (kl. 4—8) i średnich, udowodnię niezbicie.

Przyjrzyjmy się na początku ósmemu punktowi rzeczonego dziennika. W precyzyjnie skonstruowanej tabelce pomieszczono niezwykle cenne dane liczbowe o uczniach według stanu z pierwszego dnia nauki. Dowiadujemy się z niej ilu, z ogólnej liczby, uczniów przypada na tych, którzy w ubiegłym roku szkolnym uczeszczali do tej samej szkoły i zostali z końcem roku promowani, bądź pozostali w tej samej klasie. Musimy też koniecznie wiedzieć, ilu, z ogółem pozostających, nieklasyfikowano.

Po czym przechodzimy do uczniów nowo przyjętych w bieżącym roku szkolnym na podstawie świadectw: a) do klasy wyższej od tej, w której byli w ub.r.; b) do tej samej klasy jako pozostawionych na rok następny.

Grupa pierwszoklasistów (licea) nie dzieli się niestety na dalsze podgrupy. Z tego też powodu jesteśmy pozbawieni danych dotyczących liczby dzieci, które zostały w klasie ósmej celem uzupełnienia wiadomości. Wiemy natomiast, ilu chłopców i dziewcząt uczęszcza do, powiedzmy, czwartej „f" i jaka część z nich zamieszkuje w obwodzie danej szkoły lub poza obwodem. Dla ułatwienia wpisuje się jeszcze w kolejną rubrykę liczbę uczniów mających ponad trzy kilometry do przybytku oświaty.

Jest to jednak niepełny obraz statystyczny i dobrze się stało, że autorzy dziennika pomyśleli o dodatkowych informacjach.

Punkt dziewiąty dostarcza niezwykle interesujących wiadomości o środkach lokomocji, którymi uczniowie dojeżdżają do szkoły. Orientujemy się zatem ilu korzysta z pociągu, autobusu, roweru, a ilu chodzi pieszo.

Po krótkich zestawieniach, uwzględniających naukę języków obcych i rok urodzenia, przechodzimy do przeglądu zawodowego rodziców lub opiekunów. Oprócz podstawowych danych (zawód wyuczony, wykonywany, miejsce pracy) wiemy, że tata Marysi może być robotnikiem zatrudnionym poza rolnictwem bądź w rolnictwie. Mama Krzysia jest pracownikiem, a ojciec Józia chłopem. Rodzice Zdzisia są rzemieślnikami, a Krysi uprawiają inne zawody.

Nie zapomniano również o zestawieniu ruchu uczniów, zestawieniu uczęszczania uczniów i dniach nauki szkolnej, zestawieniu ocen z zachowania, zestawieniu półrocznych i rocznych wyników w nauce, o zestawieniu...

I gdzie jest ta biurokracja? — ja się pytam.

---

stać uchwalona, to już dziś należałoby rozpocząć budowę więzień, w których będzie się zamykać kobiety poddające się zabiegowi usunięcia ciąży i wykonujących go lekarzy. Niewątpliwie wzmocni to u wielu Polaków przekonanie, iż żyją w wolnym, demokratycznym państwie.

ULUBIONĄ metodą publicystyczną Adama Kalbarczyka jest — jak się zdaje — obrzucanie inwektywami tych, którzy mają inne niż on zdanie. Stąd obecność w tekście wspomnianych już „ćwierćinteligentów", stąd pomawianie o głupotę czy też „żonglerkę uczciwością". Nad tym ostatecznie można by przejść do porządku dziennego, zdając sobie sprawę z tego, iż inwektywy są argumentami ludzi, którym brakuje argumentów rzeczowych.

Są jednak granice, których przekraczać nie wolno. Nawet przy bardzo daleko posuniętej wolności słowa. A Adam Kalbarczyk, porównując ustawodawstwo polskie z ustawodawstwem III Rzeszy, granicę taką przekroczył. Co więcej, dopuścił się przy tej okazji fałszu. Hitlerowskie prawo bowiem dopuszczało sterylizację jednostek „nieczystych" rasowo oraz eutanazję. W naszym ustawodawstwie — o czym autor artykułu powinien jednak wiedzieć — są to czyny zabronione. Z drugiej zaś strony — w III Rzeszy zalecano kobietom rodzenie jak największej liczby dzieci, które następnie miały być wychowywane na wiernych żołnierzy führera. Jak zatem prawo hitlerowskie ma się do prawa polskiego? Jak ma się do prawdy następujące stwierdzenie Adama Kalbarczyka: „Przypomnieć może jedynie tu warto że ojcem postępu, który wyraził się w Polsce w ustawie o możliwości przerywania ciąży, był znany skądinąd Polakom Adolf Hitler"? Pytania te pozostawiam bez komentarza. Odpowiedzi nasuwają się same.

Społeczeństwo mamy zdemoralizowane i ogłupione — oświadcza Adam Kalbarczyk i odpowiedzialnością za to obarcza szkołę, która „jeszcze do dziś woli przedstawiać jako główną wartość internacjonalizm, a nie uczciwość i odpowiedzialność za własne czyny". To prawda, że polskie szkolnictwo nie stoi na przesadnie wysokim poziomie, jeśli zaś chodzi o wychowanie seksualne, jest to poziom wręcz tragiczny. Czy jednak może być on inny, jeżeli do dziś nie ma nawet podręcznika przysposobienia do życia w rodzinie? Ten bowiem, który był, bardzo szybko został wycofany ze szkół. Stało się to na skutek nacisków tych między innymi środowisk, które teraz najgorliwiej występują w obronie projektu ustawy o zakazie przerywania ciąży. Być może nie był to podręcznik idealny (gdzie bowiem szukać ideału?), ale przecież trudno zgodzić się ze stwierdzeniem autora artykułu, iż kwestie wychowania seksualnego przedstawiał on w sposób „powierzchowny i beztroski" (sic!).

CZY zatem są jakieś szanse na rozwiązanie problemu dzieci niechcianych? Adam Kalbarczyk przedstawia pewne propozycje. Niestety, nawet przy największej dozie dobrej woli trudno doszukać się w nich realizmu. Niektóre porażają wręcz swą — powiedzmy — naiwnością. Oto bowiem proponuje „uświadamianie" ciągle niedoinformowanej młodzieży oraz zapewnienie szerokiego dostępu do bezpiecznych środków antykoncepcyjnych. I jest to postulat głęboko słuszny. Ale za chwilę sugeruje, iż z całą pewnością do akcji takiej włączyłby się Kościół katolicki, zupełnie jakby nie wiedział o tym, że Kościół występuje równie ostro przeciwko usuwaniu ciąży, jak i antykoncepcji. Jak to pogodzić ze sobą, autor nie wyjaśnia. A szkoda!

W jednym wszakże zgadzam się z autorem artykułu. Uważam, iż niezbędna jest radykalna przebudowa systemu wychowawczego. Jest bowiem w cywilizowanym świecie rzeczą nie do pomyślenia, by absolwent szkoły średniej wkraczał w dojrzałe życie tak kompletnie nieprzygotowany, jak to ma miejsce w Polsce. Przebudowa ta jednak nie jest procesem, który można by przeprowadzić ad hoc. Na to potrzebne są lata. Rzecz w tym wszelako, że proponowana ustawa o prawnej ochronie dziecka poczętego ani owego procesu nie zastąpi, ani też go nie ułatwi. I żadne demagogiczne argumenty niczego tu nie zmienią.

WIDZI się kalekę i odwraca się wzrok. W tym geście ma' być zawarte dyskretne niezauważanie. Litościwe „nie ranić". Bardzo ładnie. Kulturalnie. Tylko czy takie odruchy zdrowego świata są inwalidom najbardziej potrzebne?

W marcu br. powstał w Lublinie Związek Inwalidów Narządów Ruchu. „Po to — mówią: Małgorzata Koter i Anna Wróbel — żeby inwalidzi sami mogli bronić własnych interesów, decydować o swoich sprawach. Żeby pomóc ludziom dotkniętym kalectwem w wyjściu z getta".

Getto nie jest może najszczęśliwszym określeniem miejsca, jakie inwalida zajmuje w społeczeństwie, ale też nie odbiega ono dalece od prawdy. Izolację powodują nie tylko bariery psychologiczne — brak wiary

Chcielibyśmy, żeby traktowano nas poważnie.

— I żeby inwalidzi czuli się w towarzystwie ludzi sprawnych lepiej. I odwrotnie — dodaje Anna Wróbel.

— Czy zastanawiała się pani kiedykolwiek, jakie są drzwi, przez które pani wchodzi, chociażby do urzędów? Nie, prawda? A dla inwalidy na wózku te drzwi są bardzo ważne — mówią moje rozmówczynie. — Istnieje wiele innych przeszkód, których inwalida nie jest w stanie pokonać. Weźmy wysokie krawężniki, blok bez podjazdów... Pełno podobnych barier w Lublinie. Człowiek sprawny nie zwraca na to po prostu uwagi. Dla inwalidy często kilka schodów stanowi niebotyczną górę, nie do sforsowania. Obniżenie krawężników, zbudowanie miękkich

bezlitosnego odsunięcia na margines. Tak ci się wydaje. Czujesz to namacalnie: mówią ci o tym twoje nogi — dwie kłody, których za nic nie możesz nauczyć posłuszeństwa. Bo są jakby już nie twoje, nie poddają się twojemu „chceniu". Jestem niczym — wmawiasz sobie. I będę niczym — dodajesz. To się nazywa inwalidztwo psychiczne.

— Służba zdrowia uzbraja inwalidę ortopedycznie. Nikt jednak nie dba o przystosowanie psychiczne pacjenta do nowych warunków. Do powrotu. Nikt mu nie podpowie, jak można żyć — kontynuują rozmowę przedstawicielki związku. — W Szwecji np. działają grupy inwalidów, których członkowie idą do szpitala i uczą tej trudnej sztuki życia po nowemu. Samoobsługi przede wszyst-

KTO SIĘ BOI INWALIDY?

Ewa Czerwińska

we własne siły, kompleks wyglądu, sposobu poruszania się, ale także przestarzałe wózki inwalidzkie, niewygodne laski, wąskie schody i wysokie krawężniki, zbyt wąskie drzwi. Trudno się więc dziwić, że inwalidów, a jest ich w Polsce 14—15 procent populacji, rzadko widuje się na ulicach, w kinach, teatrach, urzędach. Zamykają się w swoich domach. Tam przynajmniej czują się bezpiecznie. I bardzo samotnie.

Jedno jest pewne; inwalida jest zależny od świata ludzi zdrowych. Ale ten świat albo go nie zauważa, albo nie traktuje poważnie. Nie zna i nie rozumie.

— Dlatego propagowanie naszej tematyki jest potrzebne — mówi Małgorzata Koter, przewodnicząca związku. — Właśnie po to, żeby ludzie choć troszeczkę zrozumieli nasze sprawy. Inwalidzi są to normalni ludzie, tacy jak wszyscy inni. Chcą pracować, zakładać rodziny, chodzić do kina czy teatru. Tyle, że mają swoje problemy, ograniczenia związane z kalectwem.

— A czy to zdrowe społeczeństwo trzeba jakoś szczególnie dobitnie o tym przekonywać?

— A skąd ono ma to wszystko wiedzieć? Inwalidzi siedzą w domach. Służba zdrowia traktuje nas jak przedmiot pracy, dając zaopatrzenie ortopedyczne, jak podopiecznych, którym łaskawie się pomaga. Ale nigdy nie traktuje się nas jak partnerów do dyskusji czy konkretnych działań. Dając renty i wózki inwalidzkie, państwo uważa, że problem niepełnosprawnych ma z głowy.

podjazdów to przecież niewielka kosmetyka. Towarzystwo Walki z Kalectwem wywalczyło kilka parkingów dla zmotoryzowanych inwalidów, ale z drugiej strony — do przychodni rehabilitacyjnej przy ul. Kowalskiej, miejsca przeznaczonego przecież dla osób niepełnosprawnych, można dostać się tylko po schodach. Niedostępna dla inwalidów jest także większość sklepów, urzędy pocztowe. Lepiej z przychodnią przy al. Kraśnickiej, bo tam wszystkie gabinety usytuowane są na parterze. Ale już w Poliklinice PSK 4 inwalida zdobyć może tylko parter. Obniżenie barier nie wymaga wielkich nakładów inwestycyjnych, wymaga tylko myślenia.

JESTEŚ zdrów. Pracujesz. Chodzisz, jeździsz samochodem. Nagle ulegasz wypadkowi — w pracy, na ulicy. Znajdujesz się w szpitalu. Zagipsowany od stóp do głów, bez szans na powrót do poprzedniej sprawności. Wiesz już, że grozi ci inwalidztwo. W najlepszym razie kule do końca życia. W szpitalu rehabilitują cię. Usprawniają twoje nogi, ale ty już wiesz, że będą one zaledwie atrapą. I że cała twoja siła będzie w twoich rękach. Dosłownie. Jesteś załamany, bezradny. Wydaje ci się, że twoje życie po powrocie do domu będzie powolnym umieraniem. To się nazywa śmierć cywilna. Starasz się jakoś oswoić to obce pojęcie w sobie, ale nie możesz. Nie wyobrażasz sobie przywiązania do kul albo wózka. Ty, taki aktywny w pracy, w życiu nigdy nie zaakceptujesz swojej słabości. Tego

kim. Tego m. in., jak wdrapać się z powrotem na wózek, jeśli się z niego spadło. I mówią tym przerażonym ludziom: „Człowieku, mogło być z tobą gorzej. Ty się nauczysz żyć inaczej. Zobaczysz". W ubiegłym roku Szwedzi zorganizowali w Polsce obóz rehabilitacyjny, zaprosili naszych inwalidów. Pokazywali, jak można usprawnić samego siebie. Jak można poruszać się na wózku po schodach — w górę i w dół. W tym roku polscy uczestnicy obozu będą przekazywać tę wiedzę swoim kolegom. Tylko tych wspaniałych wózków inwalidzkich w Polsce nie ma. Niektóre kule, protezy — jak z czasów króla Ćwieczka. Wózki ciężkie, wielkie, nieregulowane, szerokie. Na Zachodzie podobna sytuacja byłaby nie do pomyślenia. Tam wiedzą, że — dając inwalidzie wysokiej klasy sprzęt — uruchamia się go na lata. Warto. To procentuje. Tam — mówimy ciągle o Zachodzie — wózek czy kule nie muszą ograniczać człowieka w jego możliwościach życiowych, w tym i zawodowych. U nas zakłady pracy boją się inwalidów.

PRACA jest dla człowieka niepełnosprawnego bardzo ważna. Bo to i kontakt z ludźmi, i satysfakcja, że nie jest się na garnuszku państwa. Małgorzata Koter, obecnie adiunkt w Instytucie Matematyki, trzy razy odwoływała się do komisji, żeby pozwolono jej na pracę w odpowiednio przystosowanych warunkach. Pisano: „żadna praca". W końcu wywalczyła.

Jedna z koleżanek, inwalidka, polonistka, starała się o posadę nauczycielki w szkole szpitalnej na oddziale ortopedii, myśląc, że tam właśnie, wśród kalekich dzieci, będzie potrzebna. Pomyliła się, nie potrzebowano jej tam. Teraz siedzi w domu i wycina jakieś uszczelki w ramach chałupnictwa. Nie bardzo jej to wychodzi, ale co robić. Przecież trzeba z czegoś żyć. Tylko tych czterech lat studiów szkoda.

Inny przykład. Młody, zdolny elektryk inwalida szuka pracy. Na jego osiedlu jest zakład usługowy, a w nim wolne miejsce, coś dla niego: niedaleko domu i zgodnie z wykształceniem. Zgłasza się w zakładzie, ale tam słyszeć o nim nie chcą. Sprawnego przyjęliby, ale inwalidę? Z takim tylko kłopoty. Zwolnienia, obniżona wydajność i tak dalej.

— Zakłady pracy boją się inwalidów — powtarzają moje rozmówczynie. — Może gdyby w jakiś sposób rekompensowano przedsiębiorstwom ten trud zatrudniania niepełnosprawnych, to chętniej widziałyby ich na swoim podwórku? Może udałoby się przystosować dla inwalidów na wózku stanowiska pracy i drogę do nich? Często rozmawia się z kolegami o tym, co w pracy. Jak w każdym środowisku. I wie pani, co z tych rozmów wynika? Inwalida woli często przechodzić grypę, niż iść na zwolnienie. Żeby pracodawca nie powiedział, że jest darmozjadem. Przecież inwalida to człowiek jak każdy. Ma swoją godność. Przyuczanie go do prostego fachu w sytuacji, gdy ma on zupełnie zdrową, sprawną intelektualnie głowę i studia za sobą, to nic innego, jak sprowadzanie go do niskiego parteru.

— Masz chore nogi, ale zdrową głowę. Tą głową umiesz nadrobić — mówią mądrzy rodzice swoim niepełnosprawnym dzieciom. Dlatego Małgorzata Koter i Anna Wróbel skończyły z powodzeniem studia matematyczne. Wcześniej obydwie chodziły razem z innymi do szkoły podstawowej, potem średniej. Bez żadnych ulg. Tyle, że tornistry nosili za nimi koledzy.

Ale też zdarzają się inne rodzicielskie postawy: nadopiekuńczość. Ani do żłobka, ani do przedszkola, bo tam dziecku dokuczą... Izolacja. Sztuczna klatka w domu.

— Społeczeństwo trzeba przyzwyczaić do obcowania z inwalidami — mówi Anna Wróbel. — W szkole, w pracy. Uświadomić mu, że tacy jak my są, żyją, mają ambicje, aspiracje, dobre chęci. Że mogą być bardzo przydatni. Ale też — i tu przewracamy medal na drugą stronę — społeczeństwo ludzi pełnosprawnych musi zrozumieć, jak ważne są dla nas te schody i krawężniki...

Dlatego powstał w Lublinie Związek Inwalidów Narządów Ruchu. Żeby nas o tym przekonać. A to już jakby o jedną barierę mniej.

PS. W każdy czwartek, w godzinach 16—18, przedstawiciele związku dyżurują w lokalu TPD przy Krakowskim Przedmieściu 55. Tam można zgłaszać członkostwo, szukać porady lub, zwyczajnie, podzielić się swoimi problemami i doświadczeniami

E. C.

LISTY-POLEMIKI

O ALBUMIE INACZEJ

„Łapię za pióro, by podzielić się swoimi wrażeniami po przestudiowaniu albumu «Lublin w fotografii Zbigniewa Zagaja», wydanego ostatnio przez Wydawnictwo Lubelskie" — napisała p. Beata Poniatowska. Jak zapowiedziała, tak i zrobiła. Efektem jest list opublikowany w numerze 18 „Relacji". „Łapanie za pióro" bywa zaraźliwe, toteż i my złapaliśmy zań, albowiem list ów prosi się wręcz o polemikę.

Zdziwienie budzić musi stwierdzenie autorki listu o małej liczbie fotografii zabytków zawartych w albumie. (Albumie, a nie albumiku, jak pisze p. Poniatowska). Na 48 stronach, przeznaczonych na przedstawienie starego Lublina, zaprezentowana została większość obiektów, stanowiących o charakterze naszego miasta. O klimacie Lublina bowiem decydują przecież nie tylko stare świątynie, lecz również — a może przede wszystkim — także budowle, jak: Brama Krakowska, Brama Trynitarska, gmach Trybunału wraz z otaczającymi go kamieniczkami Starego Miasta, budynek Nowego Ratusza (notabene przebudowanego z kościoła Najświętszej Marii Panny Szkaplerznej) czy wreszcie ciekawie przedstawiona na fotografiach, zabytkowa już architektura Krakowskiego Przedmieścia z efektownie wyeksponowanym gmachem dawnej Kasy Przemysłowców Lubelskich, mieszczącym obecnie hotel „Lublinianka".

Nie znaczy to oczywiście, że stary Lublin zaprezentowany został w sposób doskonały. My także chętnie widzielibyśmy w albumie fotografie cmentarza przy ulicy Lipowej, zabudowania Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, niektórych starych świątyń. Uwzględnienie tych obiektów pozwoliłoby na pełniejsze zaprezentowanie naszego miasta.

Zastanówmy się jednak nad tym, czym jest ów album. Jest to wybór z dorobku Zbigniewa Zagaja. A każdy wybór oznacza selekcję materiału. Toteż pewne fotografie zostały w nim uwzględnione, inne zaś nie. Być może p. Poniatowska zna całą twórczość Zagaja i wie, jakie zdjęcia nie zostały włączone do albumu. My owej twórczości nie znamy aż tak dokładnie, a co za tym idzie, nie wiemy, czy wśród zdjęć złożonych w Wydawnictwie Lubelskim w ogóle były takie, o których napisaliśmy, iż ich nam brakuje.

Nie odczuwamy natomiast większego braku fotografii przedstawiających świątynie w nowych osiedlach, o które dopomina się p. Poniatowska. Pod względem architektonicznym są one bowiem — poza nielicznymi — mało interesujące. I jest rzeczą nader wątpliwą, żeby kiedykolwiek stały się wizytówkami naszego miasta, jakimi są świątynie stare, będące nierzadko zabytkami wysokiej klasy.

Wiele miejsca w swym liście poświęca p. Poniatowska pomnikom. Zgadzamy się z nią co do tego, że wielu pomników brak w albumie. Co więcej, sądzimy, iż tego typu wydawnictwo powinno zawierać fotografie wszystkich lubelskich pomników. One to bowiem mówią najwięcej o dziejach miasta. Przypominają wydarzenia i postaci z jego historii. Ale wszystkie to znaczy także i te, które nie cieszą się powszechną akceptacją. A zatem także i pomnik Bolesława Bieruta. Chcemy być dobrze zrozumiani. Istnienie bądź nieistnienie owego pomnika jest dla nas rzeczą zupełnie obojętną. Jeśli zapadnie decyzja o jego rozbiórce, płakać po nim nie będziemy. Jeśli zaś będzie stał nadal, to przecież nie podłożymy podeń ładunku wybuchowego. Chodzi nam o to, że jeśli ów pomnik już jest w naturze, to niechże będzie także i w albumie. Ostatecznie prawosławny Sobór, będący do roku 1924 centralnym obiektem Placu Litewskiego, także u wielu mieszkańców Lublina budził niemiłe skojarzenia. Ale nikt o zdrowych zmysłach nie zaprotestował jakoś przeciwko zamieszczeniu jego fotografii w albumie „Lublin trzech pokoleń".

A skoro już o pomnikach mowa, wypada przypomnieć autorce listu, iż na Rogatce Lubartowskiej znajduje się pomnik nie powstańców styczniowych, lecz ułanów księcia Józefa Poniatowskiego, poległych w potyczce z wojskami austriackimi w maju 1809 roku. Powstańców styczniowych wieszano i rozstrzeliwano w zupełnie innej części miasta.

Polemizować także można ze stwierdzeniem o braku w albumie „najsłynniejszego" pomnika lubelskiego. Bo dlaczego na przykład zaprezentowany w nim pomnik Unii Lubelskiej — upamiętniający tak doniosłe dla państwa i narodu wydarzenie, jakim była zawarta w 1569 roku unia Polski i Litwy — miałby być mniej „słynny" od pomnika papieża i prymasa Wyszyńskiego? A w sferze emocjonalnej: czy słabsze od stojącego na dziedzińcu KUL skojarzenia budzi przywrócony miastu społecznym wysiłkiem w 1981 roku, pomnik Konstytucji 3 Maja, przedstawiony na jednej z kart albumu?

Dalej już prawie do końca będziemy zgodni z autorką listu. Rzeczywiście chybionym pomysłem jest prezentacja „produkcyjniaków" w rodzaju wytopu surówki, wnętrza hali w fabryce wag czy też maszyn rolniczych lub „żuków". W ich miejsce można chyba było wybrać jakieś ciekawsze zdjęcia. Trzeba także odnotować ewidentne błędy, zarówno zawinione przez wydawcę (błędne podpisy pod fotografiami nr 30, 32, 140), jak i przez Lubelskie Zakłady Graficzne (fatalna jakość niektórych reprodukcji). Jednakże wszystkie owe niedociągnięcia nie dyskwalifikują przecież albumu.

Toteż nie sposób zgodzić się z takim oto stwierdzeniem: „Jeżeli będą chętni na ten album, to chyba tylko ci, którzy zechcą dla potomnych uchronić od zapomnienia pomnik Bolesława Bieruta [...]". Jeżeli p. Poniatowska rzeczywiście tak uważa, oznacza to, iż „przestudiowanie" albumu nie było w jej wykonaniu zbyt gruntowne i być może powinna spróbować uczynić to jeszcze raz. Nie tylko patrząc, ale także myśląc o tym, co ogląda.

Andrzej Z. Kowalczyk
Janusz Lipniewski
Lublin

EKSLIBRIS HERALDYCZNY

Bartłomiej Szyndler

Z INICJATYWY Polskiego Towarzystwa Heraldycznego, Oddział w Lublinie, otwarta została w kwietniu br. w Muzeum Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej (gmach Biblioteki Głównej UMCS, ul. Nowotki 11) niezwykle interesująca wystawa pt. „Polski heraldyczny znak książkowy XVI—XX w.".

Na wystawie eksponowano około 250 ekslibrisów, kilkanaście superekslibrisów i tyleż samo pieczątek bibliotecznych o tematyce heraldycznej. Eksponaty pochodzą z kolekcji członków Polskiego Towarzystwa Heraldycznego i Towarzystwa Przyjaciół Książki w Warszawie: Michała Hilchena, Stefana K. Kuczyńskiego, Andrzeja Pasikowskiego, Andrzeja Ryszkiewicza i Kacpra Świeżowskiego oraz ze zbiorów Zakładu Nauk Pomocniczych Historii i Bibliotekoznawstwa UMCS.

Najstarszy pokazany na wystawie ekslibris, wykonany techniką drzeworytu, pochodzi z drugiej połowy lat siedemdziesiątych XVI wieku. Jego właścicielem był biskup płocki Piotr Dunin Wolski, padewczyk, dyplomata, wybitny znawca literatury renesansowej i wielki bibliofil. W swojej rezydencji na zamku pułtuskim zgromadził doborową i dużą na owe czasy bibliotekę, liczącą 1130 tomów. Książki oprawiał przeważnie w pergamin i opatrywał superekslibrisem tłoczonym na licu oprawy, ale używał też ekslibrisu wyobrażającego herb Łabędź, położony na tarczy manierystycznej w owalnej ramie z napisem wskazującym właściciela. Tarczę wieńczy infuła biskupia.

Wśród ekslibrisów siedemnastowiecznych wyróżnia się perfekcyjny pod względem warsztatowym księgoznak Jana Kazimierza, wykonany prawdopodobnie w Paryżu już po abdykacji króla. Przedstawiony na nim jest w owalnej ramie herb Rzeczypospolitej zwieńczony koroną królewską z umieszczonymi w środku tarczy herbami Szwecji i Snopkiem Wazów. Ekslibrisem tym Jan Kazimierz znaczył książki, które gromadził w klasztorze Saint Germain des Près, gdzie mieszkał, będąc jego opatem. Pierwsza biblioteka króla, znajdująca się na zamku warszawskim, została zrabowana w 1655 roku przez Karola Gustawa i wywieziona w 21 skrzyniach do Szwecji. Po śmierci Jana Kazimierza część książek pozostała w klasztorze, część zaś zabrali spadkobiercy i sprzedali paryskim antykwariuszom.

Doborową kolekcję ekslibrisów osiemnastowiecznych otwiera piękny donacyjny znak książkowy króla Stanisława Leszczyńskiego, cięty w drzewie przez wybitnego paryskiego rytownika Papillona. Widnieją na nim dwa podrywające się do lotu orły, unoszące w dziobach opasany orderem łańcuchowym Św. Ducha herb Rzeczypospolitej, zwieńczony koroną, z herbem Wieniawa pośrodku. Stosowny napis pod spodem w ramce plecionkowej wskazuje, że Leszczyński kazał ten ekslibris wykonać w 1750 roku z okazji założenia w Nancy biblioteki publicznej, której przekazał dużą część własnego księgozbioru.

Bardzo ładny miedziorytowy ekslibris posiadał kanclerz wielki litewski Jan Fryderyk Sapieha, herbu Lis. Jego wykonawcą był znany rytownik gdański Jan Fryderyk Mylius, autor wielu znaków książkowych, m.in. braci Józefa Andrzeja i Andrzeja Stanisława Załuskich, fundatorów trzeciej co do wielkości zbiorów biblioteki w Europie, nazwanej ich imieniem. Sapieha zgromadził w Kodniu wyborową bibliotekę, liczącą 1130 tomów. Składały się na nią elzewiry, dzieła z zakresu historii, genealogii i literatury. Oddzielną bibliotekę, złożoną głównie z książek francuskich, posiadała jego żona Konstancja z Radziwiłłów, właścicielka pierwszego w Polsce ekslibrisu kobiecego.

Równie wytwornym, a nawet nieco przesadzonym w ozdobach ekslibrisem mógł się poszczycić marszałek wielki koronny Michał Jerzy Wandalin Mniszech. Otrzymał on w spadku po książętach Wiśniowieckich zasobną bibliotekę, złożoną z 1280 tomów, wraz z bogatym archiwum rodowym. Księgozbiór ten powiększył za swego życia do przeszło 5000 tomów, wśród których było wiele prawdziwych białych kruków, rozpoznanych przez Tadeusza Czackiego. Na ekslibrisie Mniszcha umieszczony został orzeł z rozpościerającymi się skrzydłami, trzymający w szponach rokokową tarczę z herbem Kończyc. Na orle zawieszone są ponadto trzy szarfy z orderami, w tym z orderem rosyjskim Św. Andrzeja i polskim Orła Białego. Z tyłu z dwóch końców wystaje laska marszałkowska.

Ekslibris – Mniszech Michał Jerzy, herb Kończyc, miedzioryt, po 1775 r., wł. Kacper Świeżowski

Od ekslibrisów Sapiehy i Mniszcha różni się znacznie prymitywnym wykonaniem ekslibris zaprojektowany i wyrytowany przez domorosłego sztycharza Herszka Lejbowicza, zatrudnionego na książęcym dworze w Nieświeżu przez Michała Kazimierza Radziwiłła, zwanego „Rybeńko". Nieświeska biblioteka zawdzięczała swoje cenne zbiory kilku pokoleniom Radziwiłłów. W 1772 roku liczyła 20 000 tomów. Wkrótce jednak potem, podczas zawieruchy barskiej, została zrabowana przez wojsko rosyjskie i wywieziona do Petersburga. Tam włączono je do zbiorów Biblioteki Cesarskiej.

Spośród ekslibrisów dziewiętnastowiecznych na szczególną uwagę zasługują księgnoznaki Stanisława Kostki Zamojskiego, generała Wincentego Krasińskiego (ojca wieszcza Zygmunta) i Aleksandra Przeździeckiego. Wszyscy oni położyli wielkie zasługi dla nauki i kultury polskiej, fundując w Warszawie w czasie zaborów bogate w zbiory biblioteki i przeznaczając na ich utrzymanie oraz dalszy rozwój pokaźne fundusze.

Niestety, ich wysiłek zniweczyła druga wojna światowa, w czasie której warszawskie biblioteki ordynackie uległy straszliwej zagładzie. Nie lepszy los spotkał biblioteki: Branickich w Suchej, Lubomirskich w Przeworsku, Tarnowskich w Dzikowie, Sanguszków w Gumniskach i Wielopolskich w Chrobrzu. Uległy one likwidacji po zakończeniu wojny w 1945 roku, a ich zbiory zostały częściowo bezmyślnie zniszczone, bądź rozkradzione; to zaś, co zdołano uratować, rozdzielono pomiędzy różne biblioteki i archiwa. Wymownym świadectwem, że niegdyś te biblioteki istniały, są dzisiaj ich ekslibrisy wykonane przez znanych rytowników krajowych i zagranicznych.

Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości w 1918 roku poczęły powstawać liczne biblioteki publiczne i prywatne, przyczyniając się do dużego wzrostu zapotrzebowania na ekslibrisy. By zaspokoić ów popyt, niektórzy graficy poświęcili się całkowicie projektowaniu i wykonywaniu księgoznaków, jak na przykład Rudolf Mękicki czy Tadeusz Przypkowski, dziś już uznani za klasyków tej dziedziny grafiki. Słusznie więc ich twórczość została wyraziście zaakcentowana na wystawie.

Mękicki, kustosz Muzeum Narodowego im. Jana Kazimierza we Lwowie i numizmatyk, wykonał około 120 ekslibrisów, przeważnie dla bibliotek i bibliofilów lwowskich. Do doskonałych pod względem kompozycji jego prac należą pokazane na wystawie księgoznaki heraldyczne Biblioteki Młynowskiej Chodkiewiczów i Biblioteki Fundacji Zakładów Kórnickich.

Przypkowski, historyk sztuki artysta fotografik i twórca jedynego bodaj w Europie Muzeum Zegarów Słonecznych w Jędrzejowie, był autorem efektownych, barwnych ekslibrisów linorytowych, które wykonywał najczęściej dla swoich herbowych przyjaciół.

Uwagę zwiedzających przykuwały piękne superekslibrisy. Dwa z nich (herbowy i monogramowy) należą do Stanisława Augusta Poniatowskiego. Wytłoczone na wykwintnych safianowych oprawach książek, były niegdyś ozdobą jego biblioteki.

Na koniec warto podkreślić, że organizatorzy tej interesującej wystawy postarali się o wydrukowanie na czas ładnego katalożku, który (co dziś należy do rzadkości) zwiedzający mogli otrzymać bezpłatnie. Wystawa czynna była do końca maja.

KONSUL I OSŁY

Dokończenie ze str. 8

Krakowie. Do jego wnętrza mógł wejść posługując się paszportem oszukiwanej osoby, po to, by pobrać wnioski wizowe. Foldery są wyłożone na stoliku w poczekalni. Starających się o wizę prowadził przed budynek konsulatu przy ul. Stolarskiej. Wchodził sam do środka pod pretekstem pobrania druków, wychodził i zapewniał, że rozmawiał z konsulem, sprawa na dobrej drodze. Gdy „klient" został wezwany do konsulatu, wtedy G. wchodził do sąsiadującego z konsulatem domu sportu, wychylał się z okna ubikacji na I piętrze i kiwał do petenta porozumiewawczo. Układ okien i budynków jest taki, że wydawało się, iż G. znajduje się w konsulacie, po drugiej stronie dziedzińca.

IŚĆ W ZAPARTE

— Nie przyznaję się do popełniania oszustw. Dolary wręczano mi z wdzięczności za moją prawie charytatywną działalność. Zresztą cóż mi po tych dolarach! Ja je prawie w całości przekazywałem ważnym osobistościom w konsulacie. W kilku sprawach pośredniczył ksiądz Stanisław. Jest on rycerzem pewnego zakonu, a klasztor jego stoi w Nowej Hucie. Czy poznaję ten gryps? Tak, to moje pismo. To ja napisałem te słowa: „Wszystkie sprawy związane z wyjazdem do USA osób skierowanych przez pana G. załatwiałem ja z pewną odpłatnością. Z poważaniem — ks. Stanisław". Dlaczego napisałem za kogoś i zaadresowałem „Naczelnik Wydziału Dochodzeniowo-Śledczego WUSW Rzeszów"? Cóż, to dyplomacja, panowie, wielka dyplomacja... No i jeszcze jedno: zarzuty o włudzenie przeze mnie kwoty 26 500 dolarów nie są w pełni prawdziwe, gdyż — moi panowie — otrzymałem w sumie aż 78 000 dolarów. Jestem specjalistą wysokiej klasy i na drobne się nie rozmieniam! Zresztą, powtarzam, nie jestem oszustem, ale poważnym pośrednikiem. Na ile poważnym, ujawnię dopiero przed sądem. Rozumiemy się? — perorował „konsul Gaciano".

Potem to wszystko odwołał, twierdząc, że ksiądz Stanisław nie istnieje, natomiast pośrednikami byli... dwaj oficerowie MO. Zaciekle podtrzymywał wersję pośrednictwa, a nie oszustwa:

— Załatwiłem wizy bardzo wielu osobom, to święta prawda, moi panowie. A tym, którzy jeszcze wiz nie zdążyli otrzymać, na sto procent bym załatwił, gdyby mnie nie aresztowano...

Wyjaśnienia Ryszarda G. były zmieniane w zależności od tego, na ile się orientował w postępach śledztwa. Taktyka jego wyjaśnień nie była skomplikowana: iść w zaparte, a dopiero, gdy w czasie konfrontacji świadkowie przyprą do przysłowiowego muru, lawirować nieco elastyczniej:

— Tak, brałem, ale natychmiast przekazywałem do konsulatu. No i nie męczcie mnie tak bardzo pytaniami, bo jak zacznę sypać na sali sądowej, to zerwie się prawdziwa burza z piorunami, a ja prosto z rozprawy zostanę zwolniony bez wyroku, co najwyżej połechtają mnie jakąś tam grzywną za nielegalny obrót dolarami. Komu je przekazywałem? Ho! ho! Skąd mam paszport na wszystkie kraje świata, chociaż żadnego wniosku o jego wydanie nie składałem? Ho! ho! Za dużo byście chcieli już teraz wiedzieć...

W czasie ostatniego przesłuchania Ryszard G. stwierdził zdecydowanie, że do niczego się nie przyznaje i niczego nie pamięta, a w szczególności nie pamięta, czy kiedykolwiek wcześniej przyznawał się do czegokolwiek. Widocznie pomylono go z inną osobą.

Ale działalność przestępcza Ryszarda G. została potwierdzona przez 48 świadków i bogaty materiał operacyjny. W wyniku przeszukania pomieszczeń przez niego zamieszkiwanych odnaleziono wiele dokumentów wystawionych na różne nazwiska, a świadczących niezbicie, że trudnił on się załatwianiem wiz. Z tej sprawy wyłączono do odrębnego prowadzenia 23 dochodzenia przeciwko osobom, które wręczały dolary, oraz przeciwko — podejrzanym o poświadczanie nieprawdy — urzędnikom gminnym.

Afera „konsula Gaciano" wywołuje na Rzeszowszczyźnie wielkie emocje. Ojciec multimilioner, dobre układy w kręgach prominenckich — to okoliczności podsycające sensację. Czy nie ma niebezpieczeństwa „ukręcenia głowy" sprawie?

— Gdzie są wielkie pieniądze, tam jest wielkie bagno. Ale sprawę przecież objął swoim nadzorem prokurator generalny. Milicja dała z siebie wszystko, reszta należy do sądu — powiedział ppłk Leszek Wołoszyński, naczelnik wydziału dochodzeniowo-śledczego WUSW w Rzeszowie, ogniwa mającego efekty wykrywcze najlepsze w kraju. A chodzi tu o wykrywalność tzw. milicyjną, czyli o sprawy prowadzone w oparciu o własne materiały. Optymizm naczelnika zapewne podzielają ci, którzy w sprawie „konsula Gaciano" napracowali się najwięcej: por. Leszek Włodyka i ppor. Tadeusz Bednarz, oraz kpt. Edward Bocheński z wydziału do walki z przestępstwami gospodarczymi.

WYWOŁYWANIE OSŁA

Siedzę w sali restauracyjnej hotelu „Rzeszów". Przy sąsiednim stoliku „szpanuje" trzech młodych mężczyzn:

— Bo my, w milicji, widzimy różne rzeczy, Nam, funkcjonariuszom, nie jest łatwo zaimponować...

Rzucają takimi tekstami głośno i często. — O co chodzi? — zastanawiam się przez moment. Rzut oka na sąsiadów i... olśnienie. — Ależ tak! Tacy z nich milicjanci, jak ze mnie sługa podziemnego reżimu! Wyglądają raczej na sfrustrowanych hydraulików z konsularnymi ambicjami. Właśnie wywołują osła z sali...

Henryk Makarski

Dokończenie ze str. 2—3

Proste potrawy (chleb, ser, pierogi) i prawdziwe, wytrawne wino mają coś w sobie z symboliki religijnej wieczerzy. Jest to pierwsze moje wrażenie i ono też zostaje utrwalone w pamięci. Ale oto pojawia się nowa jakość, czy — powiedzmy — nowy element tej wielopiętrowej teatralności. To muzykanci (komedianci?), którzy mają nam umilić biesiadę, ale od razu zostają naszymi współbiesiadnikami, ponieważ inaczej jakoś nie można; nie daje się utrzymywać dystansu, który łamie się sam. To zespół „Jorki" z Poznania, grający spokojną muzykę, harmonizującą z naszymi nastrojami, z otoczeniem, stołem, księżycem i łąką. A może tylko tak mi się zdaje, że wszystko ze sobą harmonizuje, że wytworzyła się więź, że cieszymy się z tej bliskości i że dobrze nam przy tym skromnym stole? Ale jeżeli tylko tak, jeżeli t y l k o jest to moje złudne wrażenie, to dowodzi ono przecież, że przedstawienie się udało.

TEATR JAK STARA BAŚŃ

OBOK mnie przy stole siedzi smukła blondynka, która — okazuje się — rozmawia tylko po angielsku. To Gabrielle Mason, absolwentka londyńskiej Academy of Music and Dramatic Art, która przyjechała do „Gardzienic" na staż. Oprócz niej jest jeszcze kilkunastu młodych aktorów z Anglii (i nie tylko), którzy uczestniczą w parotygodniowym semestrze warsztatowym, prowadzonym przez nasz teatr specjalnie dla nich.

Pytam Gabrielle o opinię na temat „Awwakuma", a ona odpowiada, że Polska jest bogatym krajem, gdyż ma wspaniałych ludzi. Jej zdaniem — to największe bogactwo, jakie można sobie wyobrazić. No a do tego wspaniały teatr, jakiego nie ma nigdzie w jej kraju, dlatego przyjechała do nas, aby nauczyć się czegoś nowego. Czy był to tylko komplement dobrze wychowanej panienki?

14 kwietnia Stowarzyszenie Teatralne „Gardzienice" wyjechało do Wielkiej Brytanii, aby zrealizować bogaty program, opracowany (przy udziale Włodzimierza Staniewskiego) specjalnie dla naszego teatru przez Centrum Badań Teatralnych w Cardiff (Centre for Performance Research). Program ów polegał (w dużym skrócie) na tym, że nasz teatr prowadził tam zajęcia warsztatowe, demonstrował swoje metody pracy oraz przedstawiał „Awwakuma". Natomiast we wrześniu „Gardzienice" jadą do Irlandii Północnej (brytyjskiej) i do Republiki Irlandii, aby zrealizować drugą część programu. Tym razem chodzić ma o poszukiwanie natchnienia i wypracowanie wizji przyszłego spektaklu, który będzie oparty na legendzie o Tristanie i Izoldzie.

W ramach owego programu „Gardzienice" brały w początkach maja udział w Międzynarodowym Festiwalu Teatralnym w Brighton, gdzie „Awwakum" był trzykrotnie przedstawiany w starym, ponurym kościele pod wezwaniem św. Marcina. Te, oraz wcześniejsze spektakle (m.in. w Cardiff i Glasgow) wywarły na Brytyjczykach takie wrażenie, że kilkudziesięciu aktorów zgłosiło się do Włodzimierza Staniewskiego z prośbą, aby przyjął ich na staż, na którym mogliby nauczyć się nowych technik teatralnych. Gabrielle Mason należy właśnie do tych kilku szczęśliwców z Wielkiej Brytanii, którzy na taki staż zostali przyjęci.

I W tym momencie zaczyna się sprawa, o której powiedzieć: skandal, to stokroć za mało. Podsumujmy bowiem: mamy oto w Lublinie wybitny i znany na świecie teatr, do którego na naukę przyjeżdżają aktorzy z zachodniej Europy. Teatr ten prowadzony jest przez artystę i animatora, którego ceni się na tyle, że — na przykład — w najważniejszym centrum sztuki w Nowym Jorku (czyli w St John the Devine, nb. największej katedrze świata) proponuje mu się stanowisko dyrektora artystycznego. I Włodzimierz Staniewski pracy tej nie przyjmuje, gdyż nie chce porzucić teatru, z którym, jak uważa, wiele jeszcze ma do zrobienia.

Ten teatr nie ma w Gardzienicach sali, gdzie można by odbywać zajęcia warsztatowe i dawać przedstawienia bez obawy, że uszkodzi się kogoś spośród publiczności. Taka sala, budowana od paru lat, miała być gotowa na przyjazd zagranicznych stażystów. Każdy, kto zna się na budownictwie powie, że to, co tam zostało jeszcze do zrobienia, mogłaby w ciągu miesiąca zrobić pięcioosobowa ekipa robotników. A jednak od jesieni roboty stoją w miejscu, jakby komuś specjalnie zależało na tym, aby sala nie została wykończona. Co dwa tygodnie odbywają się narady robocze z udziałem inwestora, wykonawcy, odpowiednich czynników gminnych i wojewódzkich, a na tych naradach podejmuje się „ostateczne decyzje", które doprowadzić mają do pomyślnego finału, czyli wykończenia sali. Po czym budynek zamyka się na cztery spusty, robotnicy opuszczają plac budowy, a za dwa tygodnie odbywa się następna narada, która... i tak dalej od paru miesięcy.

To już nie jest słynna polska niemożność. To wygląda tak, jakby komuś zależało, aby „Gardzienice" wyniosły się z podlubelskich Gardzienic. Ten styl przypomina bowiem to, co działo się w Lublinie zawsze, gdy jakiś pisarz czy reżyser stawał się tutaj, powiedzmy, źle widziany przez „odpowiednie czynniki". Wiecie... tego, hm, rozumiecie, nic przeciwko wam nie mamy, chociaż, tego... owego. I tak trwa ta zabawa w ciuciubabkę.

O nic nie apeluję, bo wiem, że moje pisanie na nic się w tej mierze zda. Napisałem to tylko po to, aby opinia publiczna naszego regionu i miasta wiedziała, jak dba się (za jej pieniądze!) w Lublinie o to, aby wybitny, uznany przez świat teatr, miał godziwe warunki pracy.

A może miasto nie ma pieniędzy? Proszę bardzo: jeżeli władze administracyjne zrzekną się prawa własności obiektu na rzecz dyrektora administracyjnego „Gardzienic" Stanisława Krala, teatr jest w stanie znaleźć sponsorów i w ciągu miesiąca zakończyć wszystkie roboty budowlane.

Niech zatem nikt nie próbuje mydlić mi oczu tzw. trudnościami obiektywnymi.

A tak na marginesie: czyżby Lublin był tak bardzo bogaty w wybitne zjawiska artystyczne, że może sobie pozwolić na lekceważenie „Gardzienic" (a może i na utratę teatru?).

Andrzej W Pawluczuk

INFORMATOR KULTURALNY

TEATR

XIV Zamojskie Lato Teatralne

6.07 godz. 17, 19 **(Zamość — kazamaty):** „Zapiski więzienne Stefana Kardynała Wyszyńskiego" w wykonaniu aktorów Teatru Ochota w Warszawie.

7.07 godz. 17, 20 **(MDK):** „Wariat i zakonnica" S. I. Witkiewicza.

8.07 godz. 17 **(Zamość — Brama Lubelska):** „Krzesła" E. Ionesco.

9.07 godz. 17, 20 **(MDK):** „Kto się boi Wirginii Woolf" E. Albee'go — spektakle w wykonaniu aktorów Teatru STU w Krakowie.

8.07 godz. 20 **(MDK):** „Kopciuch" J. Głowackiego w wykonaniu aktorów Teatru im. Leninowskiego Komsomołu w Leningradzie.

MUZYKA

W LUBLINIE

Filharmonia: 7.07 godz. 19 — występ Chóru Kibbutz Artzi (Krajowy Chór Rolników) z Izraela pod dyrekcją Aharona Harlapa. W programie: muzyka kompozytorów izraelskich, europejskich i amerykańskich.

WYSTAWY

W LUBLINIE

Muzeum im. J. Czechowicza — wystawa linorytu Leszka Kiljańskiego.

Muzeum Lubelskie — wystawa pt. „Węgierski strój kobiecy IX—XIX w.".

Galeria BWA (ul. Narutowicza 4) — wystawa fotografii Tomasza Tomaszewskiego pt. „Spojrzenie Ameryki" z tekstem Małgorzaty Niezabitowskiej.

Galeria Grodzka (ul. Grodzka 5a) — wystawa rzeźby Klausa Simona pt. „Zwrotnik".

Oddział Kultury Fizycznej i Sportu (Al. Zygmuntowskie 4) — wystawa pt. „Sport w plastyce NRD".

Galeria TPSP (ul. Grodzka 32/34) — wystawa malarstwa Mieczysława Krzeszowca.

— 7.07 godz. 17 — otwarcie wystawy artystów plastyków z Brześcia.

W BIAŁEJ PODLASKIEJ

Muzeum Okręgowe — wystawa pt. „Sztuka jarmarków i odpustów";

— wystawa malarstwa, grafiki i rysunku Wojciecha Dziatko pt. „Koń jaki jest...".

Galeria Sztuki Współczesnej — 7.07 godz. 17: otwarcie wystawy malarstwa Cecylii Szerszeń.

W CHEŁMIE

Galerja 72 — 7.07 godz. 17: otwarcie wystawy malarstwa Kazimierza Ostrowskiego z Gdańska.

MYŚLI O POLSCE

BERNARD MARGUERITTE

„MYŚLI O POLSCE": POD TYM TYTUŁEM PUBLIKOWAĆ BĘDZIEMY REFLEKSJE O ZACHODZĄCYCH W POLSCE WYDARZENIACH, JAKIE — NA NASZĄ PROŚBĘ I SPECJALNIE DLA „RELACJI" — SPISYWAĆ BĘDĄ AKREDYTOWANI W POLSCE KORESPONDENCI ZAGRANICZNI. ROZPOCZYNAMY „MYŚLAMI..." POPULARNEGO KORESPONDENTA FRANCUSKIEGO, BERNARDA MARGUERITTE'A.

Z PUNKTU widzenia francuskiego fakt, że prezydent Mitterrand jest pierwszym szefem państwa zachodniego, który odwiedził Polskę po pierwszej turze wyborów, jest wielce symboliczny. Lech Wałęsa był uprzejmy powiedzieć mi parę dni temu, że działania prezydenta Francji przyczyniły się walnie do zwrotu politycznego w Polsce. Z drugiej strony — można zauważyć, że stało się to możliwe dzięki zwrotowi w polityce Francji wobec Polski, w dążeniu do ponownego dialogu. W każdym razie wszyscy we Francji cieszą się z nowych nadziei występujących nad Wisłą.

Jak obserwator zagraniczny może uczciwie ocenić sytuację, nie ingerując w wewnętrzne sprawy zaprzyjaźnionego państwa?

Może najpierw — jak wszyscy — zauważyć, że Polska po tych wyborach nie będzie już taka sama. Ale co właściwie się zmieniło? Wybory pokazały, że 10 proc. narodu popiera rządy komunistyczne, a 80 proc. ludzi aktywnych jest raczej zwolennikami rozwiązań znanych na Zachodzie. Ale czy to jest nowe? Każdy od wojny wie, że realia geopolityczne idą w jednym kierunku, a uczucia ogromnej większości społeczeństwa w drugim. Wybory to tylko potwierdziły.

Nowe jest natomiast to, że „koalicja" będzie teraz rządzić tylko dlatego, iż „Solidarność" nie sięgnęła po władzę. Pozycja moralna i polityczna „koalicji" jest więc bardzo słaba. Po wyeliminowaniu trzydziestu trzech z listy krajowej Wałęsa mógłby matematycznie zostać wybrany prezydentem. Jego mądrość polityczna nie pozwoliła mu się o to starać, ale władza będzie musiała o tym pamiętać.

Całkiem nowe pozostanie to, że „koalicja" nie dysponuje 65 procentami głosów w Sejmie. Wobec tego żadna ustawa nie może być uchwalona bez poparcia „Solidarności". To znaczy, że trzeba będzie rządzić metodą merytorycznego consensusu, nawet gdy — co jest prawdopodobne — „Solidarność" nie będzie chciała wejść do rządu. Z jednej strony — to jest pozytywne; zwiększa się kontrola społeczna czy nawet udział społeczeństwa w rządzeniu. Ale z drugiej — czy będzie można rządzić metodą consensusu, kiedy ogromne trudności do rozwiązania wymagają władzy silnej i zdeterminowanej?

Spokojna analiza sytuacji wykazuje szereg elementów negatywnych:

— mierny wynik „koalicji" i przegrana trzydziestu trzech kandydatów z listy krajowej bardzo utrudnia pozycję reformatorów w partii. Wiadomo już zresztą, że skreślali nazwiska listy krajowej nie tylko zwolennicy „Solidarności", ale również spora część aparatu partyjnego. To stwarza sytuację bardzo ciężką dla generała Jaruzelskiego. Negatywnym wynikiem tego jest to, że Lech Wałęsa wie o tym i rozważa wobec tego konieczność jeszcze większego umiaru.

— 38 proc. ludzi nie poszło głosować. To pokazuje, że w gruncie rzeczy połowa społeczeństwa albo jest przeciwna metodom „okrągłego stołu", albo nie wierzy w ich sukces. Pierwsze badania wskazują, że wśród niegłosujących jest szczególnie dużo młodych i dużo robotników. To jest na pewno bardzo niepokojące. To potwierdza, że układ polityczny „okrągłego stołu" jest zbyt wąski. Poza tym układem znajdują się „twardzi" z „Solidarności" (np. pan Gwiazda) i „twardzi" z partii (np. pan Kociołek) wraz z częścią OPZZ. Ale równocześnie są poza układem i Chrześcijańska Demokracja, i prawica z KPN. To też jest niebezpieczne.

Poza tym, nawet jeśli się cieszymy z postępu demokratyzacji, to trzeba przyznać, że sytuacja gospodarcza się nie zmieniła. W dalszym ciągu istnieje 40 miliardów dolarów zadłużenia, dekapitalizacja przemysłu, zagrożenie ekologiczne, zacofanie technologiczne i infrastrukturalne. Wiadomo już, że koniec roku będzie bardzo ciężki i grozi wybuchem niezadowolenia społecznego.

W tej sytuacji dla Polski najważniejsza jest walka o ratowanie bytu cywilizacyjnego, dla ocalenia ojczyzny. Sukces będzie możliwy tylko wtedy, jeżeli zmobilizują się wszystkie siły Polaków. Nie czas na ograniczony consensus pewnej elity. Potrzebne jest zespolenie wszystkich — z panem Kociołkiem i panem Miodowiczem, z panem Wałęsą i panem Gwiazdą, z panem Moczulskim i panem Benderem. Czy to będzie możliwe?

Potrzebne jest również dziś zrozumienie Zachodu, że rozgrywa się w Polsce wielka bitwa o przyszłość systemu socjalistycznego, wielka bitwa o ocalenie miejsca Polski w naszym wspólnym domu europejskim. Cieszę się ogromnie, że Francja to zrozumiała.

Nie można dopuścić do tego, żeby po upadku reform w Chinach dlatego, iż zmianom gospodarczym nie towarzyszyło dążenie do zmian politycznych, upadła polska próba reform dlatego, że przeobrażenia polityczne nie pociągną za sobą poprawy gospodarczej i wzrostu poziomu życia ludzi.

TV

CZWARTEK — 6 lipca

PROGRAM I

8.50 Domator: Kolorowa kuchnia
9.00 Kino Teleferii: „Vasco da Gama ze wsi Rupera" (2) — „Zakład" — serial prod. bułgar.
10.00 Dt — wiadomości
10.10 „Tylko bez paniki" — film krym. prod. węgier.
16.45 Program dnia
16.50 Patrol — wojskowy magazyn publ.
17.15 Teleexpress
17.30 „Czterdziestolatek" (4) — „Portret, czyli jak być kochanym" — serial TVP
18.25 Ze sztuką na ty
18.50 Bez grania
19.00 Dobranoc: Cypisek, syn rozbójnika Rumcajsa
19.10 Teraz — tygodnik gospodarczy
19.30 Dt
20.05 „Telefon 110" — „Ostatnia klientka" — film krym. NRD
21.30 Kroniki PAT: Tak było...
21.45 Pegaz
23.45 Festiwal Piosenki Żołnierskiej Kołobrzeg '89 — koncert (rewia wojskowych zespołów estradowych)
22.35 Dt — echa dnia

PROGRAM II

17.55 Program dnia
18.00 Program lokalny
18.30 „Strachy na lachy" — film animowany prod. ang.
19.00 Magazyn „16"
19.30 „Świat roślin" (2) — „Droga w świat" — serial prod. CSRS
20.00 Wielki temat
21.00 Ekspres reporterów
21.30 Panorama dnia
21.45 Moniuszko znany i nieznany — XXVIII Festiwal Moniuszkowski w Kudowie Zdroju
22.05 Kino Studyjne „Dwójki": „Lemmy" — film fab. prod. USA. Reż. Bob Fosse; wyk.: Dustin Hoffmann, Valerie Perrine, Jan Miner, Stanley Beck
23.40 Komentarz dnia

PIĄTEK — 7 lipca

PROGRAM I

8.50 Domator: Wesołe poduszki
9.00 Zielone Teleferie
9.20 Kino Teleferii: „Arabella" — serial prod. CSRS
10.00 Dt — wiadomości
10.10 Dt — dodatek gospodarczy
10.25 „Pod Wilą bez pana młodego" — komedia obycz. prod. CSRS
15.45 Domator: Przed weekendem
16.40 Program dnia
16.45 Mieszkać — wszechnica budowlana
17.15 Teleexpress
17.30 „Czterdziestolatek" (3) — „Kondycja fizyczna, czyli walka z metryką" — serial TVP
18.30 Hajnówka — portret miasta
19.00 Dobranoc: Przygody Gapulki
19.10 Monitor rządowy
19.30 Dt
20.05 „Lato rewolucji" cz. 1 — film fab. prod. franc. Reż. Lazare Iglasis; wyk.: Bruno Devolders, Bruno Cramer, Brigitta Fossey, Bernard Fresson
21.45 Kroniki PAT: Tak było...
21.40 Czas — magazyn publ.
22.10 Festiwal Piosenki Żołnierskiej — Kołobrzeg '89 (premiery)
23.40 Dt — echa dnia

PROGRAM II

17.55 Program dnia
18.00 Program lokalny
18.30 Konwój
19.00 Studio sport: Wimbledon '89
19.30 Dookoła świata: W sercu Afryki
20.00 Piątek — krakowski przekładaniec kulturalny
21.30 Panorama dnia
21.45 Filmy z Humphreyem Bogartem: „Aniołowie o brudnych twarzach". Reż. Michael Curtiz; wyk.: James Cagney, Pat O'Brian, Ann Sheriden
23.20 Komentarz dnia
23.25 Studio sport: Wimbledon '89.

SOBOTA — 8 lipca

PROGRAM I

8.00 Tydzień na działce
8.20 Na zdrowie — program rekreacyjny
8.55 Program dnia
9.00 Telekino Trójki: „Fraggles" — serial prod. ang. i „Szaleństwa panny Ewy" (2) — serial prod. TVP
10.30 Dt — wiadomości
10.40 Stare, nowe, najnowsze
11.25 Bellona — wojskowy program publ.
11.55 Śladami Odyseusza: Cyklop Polifem i Eol, bóg wiatrów — filmy dok. prod. franc.
12.35 Telewizyjny film dok.: „Czas Gdyni"
13.25 Flesz — program rozrywkowy
13.55 Telewizyjny Teatr Prozy. Z cyklu „mówi Chandler": „Kłopoty to moja specjalność"
14.55 Dziecko potrafi: Dzieciarnia w Oriencie — widowisko dla dzieci
15.25 Komedie, komedie, komedie: „Motodrama" — prod. pol.
16.50 Losowanie Dużego Lotka
16.55 Szkoła mistrzów: Jerzy Wójcik
17.15 Teleexpress
17.30 Studio sport: Samochodowy Rajd Polski
18.30 Butik
19.00 Dobranoc: Przygód kilka wróbla Ćwirka
19.10 Z kamerą wśród zwierząt: Skrzydlaci architekci (2)
19.30 Dt
20.05 „Jeźdźcy" — western prod. USA
21.40 Tydzień w polityce
21.50 Kołobrzeg '89: Koncert autorski Janusza Kępińskiego i Marka Sewena
23.20 Jutro w programie
23.30 Telegazeta — wiadomości w skrócie
23.40 — 1.20 Kino sensacji: „Strzelcy" — film prod. USA

PROGRAM II

14.00 W świecie dzwy — program dla niesłyszących
14.25 Telewizyjny koncert życzeń
14.55 Powitanie
15.00 Ordy: Odkrycie Bieguna Północnego — film animowany prod. japońskiej
15.25 Spektrum — nowości nauki i techniki
15.40 Zielony świat
16.00 Co nowego w „Wiedzy i Życiu"
16.10 Tajemnice przyrody — odc. pt. Loteria szaleńców — film dok.
16.35 Konwój
17.30 „Najdłuższa wojna nowoczesnej Europy" — odc. 10 pt. „Na wojnie, jak to na wojnie" — serial fab. TVP
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska
18.30 Wielka gra — teleturniej
19.35 Alfa i omega
20.00 Studio sport: Wimbledon '89
21.20 Panorama dnia
21.45 „Chateauvallon" (9) — serial prod. luksembursko-francuskiej
22.45 Konwój
23.15 — 23.20 Komentarz dnia

NIEDZIELA — 9 lipca

PROGRAM I

8.55 Program dnia
9.00 Telekino Trójki: „Ucieczka na Górę Czarownic" — film przyg. prod. franc.
11.25 Kraj za miastem
11.55 Telewizyjny koncert życzeń
12.40 Studio sport: Superpuchar w piłce nożnej
13.30 Powiększenie — fotomagazyn
13.50 Laureaci '89: „Fuki z Zatoki Admiralicji" — film dok. Ryszarda Wyrzykowskiego
14.25 Marek Sierocki zaprasza
14.55 Smak życia — zaproszeni do studia goście opowiadają o sobie
15.55 „Katarzyna" — odc. 15 (ostatni) serialu prod. franc.
17.15 Teleexpress
17.30 Gdzie są tamy z tamtych lat — program Grzegorza Lasoty
17.45 Studio sport: Międzynarodowe zawody w ujeżdżaniu, CDI — Kraj
18.10 Antena
18.30 „Panna dziedziczka" (8) — serial prod. brazyl.
19.00 Wieczorynka: Tajemnica Wiklinowej Zatoki
19.30 Dt
20.05 „Ucieczka z miejsc ukochanych" — odc. 8 (ostatni) serialu TVP
21.05 Sportowa niedziela
21.20 Kołobrzeg '89: Koncert galowy (1)
22.45 Telegazeta — wiadomości w skrócie
22.50 — 24.00 Kołobrzeg '89: Koncert galowy (2)

PROGRAM II

10.25 Przegląd tygodnia — program dla niesłyszących
11.30 „Ucieczka z miejsc ukochanych" — odc. 8 (ostatni) serialu TVP (dla niesłyszących)
12.30 Peryskop — wojskowy program publ.
13.00 Lokalny koncert życzeń
13.30 Jutro poniedziałek — magazyn spraw codziennych
13.55 Powitanie
14.00 Polska Kronika Filmowa
14.10 100 pytań do...
14.50 Polacy — film dok.
15.25 Formuła 1
15.50 Być tutaj: Wola Radziszowska — gawęda prof. Wiktora Zina
16.05 Kalejdoskop filmowy Kino-Oko
16.30 Formuła 1
16.46 Konwój
17.10 Formuła 1
17.30 Bliżej świata — przegląd telewizji satelitarnych
18.00 Wywiady Ireny Dziedzic
19.30 Niedzielne spotkania w warszawskich Łazienkach: Gra Maria Korecka-Soszkowa
20.00 Studio sport: Wimbledon '89
21.30 Panorama dnia
21.45 „Wichry wojny" (17) — serial prod. USA
22.35 Komentarz dnia

PONIEDZIAŁEK — 10 lipca

PROGRAM I

17.10 Program dnia
17.15 Teleexpress
17.30 „Czterdziestolatek" (5): „Włosy Flory, czyli labirynt" — serial TVP
18.30 Echa stadionów
18.50 10 minut
19.00 Dobranoc: Jak piesek i kotek myli podłogę
19.10 Gorące linie
19.30 Dt
20.05 Spektakl na bis: Aleksander Gelman — „Ławeczka"
21.25 Kroniki PAT: Tak było...
21.40 Elementarz Polski — film dok. Józefa Gębskiego
22.40 Mój teatr — Edyta Geppert
23.15 Dt — echa dnia

PROGRAM II

17.55 Program dnia
18.00 Program lokalny
18.30 Czarno na białym — przegląd polskich kronik filmowych
19.00 Ojczyzna — polszczyzna: Frazeologiczne modyfikacje
19.15 Antena „Dwójki" na najbliższy tydzień
19.30 Program publ.
20.00 Telefrans
20.30 Uwaga, dokument
21.15 Rozmowy o cierpieniu
21.30 Panorama dnia
21.45 Biografie: „Kino Carla Dreyera" (2) — film prod. duńsko-brytyjsko-RFN
22.45 Komentarz dnia

WTOREK — 11 lipca

PROGRAM I

8.50 Domator: 10 minut dla urody (1)
9.00 Teleferie: Wakacje z Neptunem
9.35 Kino Teleferii: „Dziewczyna pirat" (4) — serial prod. NRD
10.00 Dt — wiadomości
10.10 Dt — dodatek gospodarczy
10.25 „Księżniczka Daisy" (2 — ostatni) — melodramat prod. USA
17.10 Program dnia
17.15 Teleexpress
17.32 „Czterdziestolatek" (7): „Judym, czyli czyn społeczny" — serial TVP
18.30 Program publ.
18.50 10 minut
19.00 Dobranoc: Przygody Pączka i Pączka
19.10 Od A do Zet M — jak M-4 — program publ.
19.30 Dt
20.05 „Księżniczka Daisy" (2 — ostatni) — melodramat prod. USA
21.35 Kroniki PAT: Tak było...
21.50 Konferencja prasowa rzecznika rządu
22.05 Studio Solidarność
22.50 Dt — echa dnia

PROGRAM II

17.55 Program dnia
18.00 Program lokalny
18.30 „Wojna domowa" (9): „Dzień Matki" — serial obycz. TVP
19.30 Blisko nieba — mag. alpinistyczny
20.00 Non stop kolor: „Terence Trent d'Arby" — film dok. prod. ang.
21.00 Studio sport
21.30 Panorama dnia
21.45 „Wspólny balkon" film fab. prod. franc.
23.15 Komentarz dnia

ŚRODA — 12 lipca

PROGRAM I

8.50 Domator: 10 minut dla urody
9.00 Teleferie dla najmłodszych: Zgadywanie na ekranie
9.30 Kino Teleferii: „Piaskowy stworek" — „Każdy chce barranka" — film prod. CSRS
10.00 Dt — wiadomości
10.10 „Martin XIII" — film fab. prod. NRD
16.40 Program dnia
16.45 Losowanie Express i Super Lotka
16.55 Telewizyjny informator wydawniczy
17.15 Teleexpress
17.30 „Czterdziestolatek" (8) — „Otwarcie trasy, czyli czas wojny" — serial TVP
18.25 „Czas przeszły, dokonany" — wspomnienia adiutanta gen. Władysława Sikorskiego — film dok. Tadeusza Halucha
18.56 10 minut
19.00 Dobranoc: Kolorowy świat Pacyka
19.10 Bocznymi drogami — reportaż
19.30 Dt
20.05 Zwierciadło czasu: „Jutro była wojna" — film fab. prod. ZSRR
21.30 Kroniki PAT: Tak było...
21.45 Spojrzenia
22.15 Piknik Country — Mrągowo '89 — gala
22.50 Dt — echa dnia

PROGRAM II

17.55 Program dnia
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska
18.20 Świat festynów
19.00 Tokyo Music Festival (2)
19.20 Irak — program publ.
20.00 ABC — telefaxmiej językowy
20.20 Piękne głosy — śpiewa Maciej Witkiewicz
21.00 „Z ziemi polskiej" (2) — Ślązacy w Teksasie — film dok. Andrzeja Chiżewskiego
21.30 Panorama dnia
21.45 „W labiryncie" (28) — serial TVP
22.15 Telewizja nocą
23.00 Komentarz dnia

ZESPÓŁ: Ewa Czerwińska, Mirosław Dereń, Ewa Dybek (redaktor techniczny), Zbigniew Dzięciołek, Wiesław Horabik, Violetta Krasnowska, Zbigniew Mazga (kierownik działu kultury i informacji), Andrzej W. Pawluczuk (kierownik działu reportażu), Waldemar Piasecki (kierownik działu publicystyki), Franciszek Piątkowski (redaktor naczelny), Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), Waldemar Stępień (fotoreporter), Leszek Wiśniewski, Izabella Wiszłowska. Korekta: Barbara Caban. Sekretariat: Anna Wójtowicz.
ADRES REDAKCJI: ul. Skłodowskiej 2, 20-029 Lublin. Telefony: 215-97 (sekretariat, redaktor naczelny), 205-24 (sekretarz redakcji), 202-91 (dział publicystyki), 208-50 (dział reportażu), 220-68 (dział kultury i informacji). Korespondencję zwykłą prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin, skrytka pocztowa 231.
WYDAWCA: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa—Książka—Ruch", ul. Jasna 6, 20-077 Lublin, tel. 255-20.
DRUK: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4, 20-126 Lublin, tel. 77-25-71.
Redakcja nie zwraca tekstów nie zamówionych, zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów i zmiany tytułów w nadesłanych materiałach.
Informacji o prenumeracie na krzyż i zagranicę udzielają oddziały Przedsiębiorstwa Upowszechniania Prasy i Książki RSW „Prasa—Książka—Ruch" i urzędy pocztowe.
Nr indeksu: 37400 PL ISSN 0860-8210. Zam. 1042. 23.06.89. B-5.

TELEWIZYJNY HIT TYGODNIA

MINI-SONDA

ROZPOCZYNAMY druk sondy czytelniczej, dotyczącej ważnego zjawiska naszego społecznego życia — telewizji. Co tydzień chcielibyśmy zaprezentować kilka wypowiedzi uzyskanych od naszych Czytelników o najciekawszym, ich zdaniem, programie tygodnia. W doborze rozmówców zamierzamy kierować się absolutnym przypadkiem. Prosimy więc o wybaczenie nam nagłego indagowania Państwa, ale liczymy, iż taka forma zbierania opinii okaże się szczególnie ciekawa i żywa.

Nim przejdziemy do hitów tygodnia, postanowiliśmy rozpocząć od pytania problemowego: czy i ewentualnie jak zmieniła się Telewizja Polska od czasu przejęcia nad nią rządów przez Jerzego Urbana?

Anna KALINOWSKA, gospodyni domowa z Puław: — A skąd ja wiem, że pan jest tym, za kogo się pan podaje? Ja tam przez telefon nie rozmawiam o polityce.

Jerzy DURCZAK, pracownik naukowy UMCS: — Nie należę do ludzi regularnie oglądających telewizję, trudno mi zatem ocenić ewentualne zmiany programowe, zaistniałe po objęciu rządów nad telewizją przez Jerzego Urbana. Sądząc wszakże po programach informacyjnych — choć ich charakter w ostatnim czasie był z pewnością nietypowy ze względu na wybory — dopatruję się wpływu nowego szefa Radiokomitetu na przekazywane w nich treści. O ile bowiem w marcu, w okresie obrad „okrągłego stołu", dominowała np. w dzienniku telewizyjnym strona informacyjna, o tyle w czasie wyborów dała się zaobserwować nachalna propaganda obozu koalicyjno-rządowego. Nie sądzę, by była to najlepsza forma przekazywania informacji.

Henryk ZDUNEK, udziałowiec prywatnej firmy budowlanej w Zamościu: — Wie pan, że można zauważyć różnicę. Nie siedzę przed telewizorem całymi dniami, jestem na to zbyt zajęty, ale zwróciłem uwagę na szereg programów publicystycznych i reportażowych sięgających do źródeł komunizmu; programów prezentujących sylwetki członków partii; uwiarygodniających partię. Jakaś audycja o dziewczynie zrzuconej z Moskwy nad okupowaną Polskę; młodej, odważnej, współpracującej nawet z AK; jakiś spór Wery Kostrzewy ze Stalinem. Ten nurt odbrązowiający, przaśny pojawił się niedawno. Sądzę, że to zasługa ministra Urbana.

Ewa GODULA, uczennica Zespołu Szkół Chemicznych: — Nie sądzę, aby ktokolwiek posiadał na tyle silną osobowość, by wywierać wpływ na całą telewizję. Może co najwyżej na politykę. Uważam więc pytanie za źle postawione. Przecież to wielka, zróżnicowana machina. Dla mnie tam nic się nie zmieniło. Wciąż za mało na ekranie muzyki młodzieżowej. Nie ma porównania ze stacjami zagranicznymi.

Marek CZERKASSY, student Politechniki Warszawskiej, zamieszkały w Chełmie: — Dla mnie pan Urban był doskonałym rzecznikiem prasowym rządu. Telewizji prawie w ogóle nie oglądam.

W. H.

KANON

Hen Spider

W OSTATNICH 30 latach ustalił się następujący kanon nazw ulic i osiedli, obowiązujący w każdym polskim miasteczku czy mieście: Lenina, Manifestu PKWN, Manifestu Lipcowego, 22 Lipca, Komuny Paryskiej, Wojska Polskiego, I Armii Wojska Polskiego, Gwardii Ludowej, Armii Ludowej, Armii Czerwonej, Rewolucji Październikowej, 1 Maja.

A dalej imienne: Bieruta, Marchlewskiego, Dzierżyńskiego, Buczka, Nowotki, Krasickiego, H. Sawickiej, Hempla, Hirszfelda, Lampego, Warskiego, Świerczewskiego, R. Luksemburg, Waryńskiego itp. itd. Całe to towarzystwo zastąpiło przedwojennych Piłsudskich, Narutowiczów, Powstańców, Legionistów itd. itp. O Stalinie nie wspominam. Był u nas dziesięcioletnim incydentem nazewniczym: kto dziś jeszcze pamięta Katowice jako Stalinogród?

Przy zmianach tolerowano takich gigantów jak Mickiewicz, Słowacki, Kochanowski lub Staszic, ale tylko do pewnych granic, konkretnie do rangi ulicy noszącej imię wieszczów. Przed wojną główna i niekiedy jedyna ulica miasteczka nazywała się ulicą Piłsudskiego lub Mickiewicza, toteż w latach powojennych nie do pomyślenia było nie zmienić jej na Lenina, Bieruta czy 1 Maja albo Manifestu Lipcowego. Dlatego tak dokumentnie poznikali Mickiewicze, Słowaccy, a zwłaszcza Piłsudscy. Dopiero w latach 60-tych, w miarę rozrastania się miast, przybywania ulic, przypominano sobie o wieszczach. Piłsudski był nadal tabu.

Tak jak przed wojną nie do pomyślenia była ulica Berezy Kartuskiej, Przewrotu Majowego, Powstań Chłopskich czy Endeków, tak po wojnie, przez całe dziesięciolecia nie do pomyślenia była zgoda rajców jakiegoś miasta czy metropolii wojewódzkiej na Monte Cassino, Armii Krajowej, Sikorskiego, Andersa czy — Boże nie daj! — Katynia.

Teraz tak zwany zegar historii znowu to wszystko zacznie odkręcać. Będą znikali: Dzierżyński, Marchlewski, Bierut, Krasicki, Nowotko, Buczek; zdemilitaryzowane zostaną ulice Wojska Polskiego, I Armii Wojska Polskiego, Aleje Wojska Polskiego, Gwardii Ludowej, Armii Ludowej i Armii Czerwonej.

Potrwa to dość długo, nie wszystkie nazwiska i armie przestaną ozdabiać ulice i osiedla, zapewne jedna armia zastąpi inną, 1 Maja ustąpi 3 Maja, 22 Lipca — 11 Listopada, Bierut — Sikorskiemu, a Lenin — Piłsudskiemu, i słusznie, bo wódz Rewolucji Październikowej sromotnie przegrał bitwę warszawską z 1920 roku.

Historia kołem się toczy i kołem łamie, jednych wywyższa, innych w przepaść zapomnienia strąca, lecz nigdy i nigdzie tak często i tak dokumentnie jak w Polsce. Ulice Królowej Wiktorii istnieją w Anglii sto lat i przetrwają drugie albo i więcej stuleci.

Niewiele możemy tu nad Wisłą przeciwstawić kalejdoskopowi symatii i antypatii, lecz w przewidywaniu kolejnej rewindykacji, warto zastanowić się nad nazewnictwem przyszłości, a nie teraźniejszości. Bo teraźniejszość, jej emocje, a także tak zwana sprawiedliwość dziejowa, nakazują na miejscach strącanych tablic z patronami ostatniego trzydziestolecia wstawiać Armię Krajową, Sikorskiego, Andersa, Katyń, Okulickiego i Piłsudskiego. Ale to już przeszłość, postacie świetlane, lecz przebrzmiałe w swej oczywistości. Zamiast nich lub obok nich, warto już teraz przystąpić do utrwalania kanonu przyszłości, następnych dziesięcioleci.

Tak właśnie upomnieć się należy już teraz o Plac Okrągłego Stołu, ulice Umowy Sierpniowej, Aleje Solidarności, o Lecha Wałęsę, Kuronia, Michnika, Geremka, Kiszczaka, Mazowieckiego, Blumsztajna, Urbana; z pisarzy: Szczypiorskiego; aktorów: Łapickiego; reżyserów: Wajdy; i wielu wielu innych. Przecież bez tych nazwisk, na co dzień widocznych na domach, kopertach pocztowych, spisach adresowych, nasza historia będzie niepełna, jednostronna, tendencyjna jak dotąd, jak przedtem, jak zawsze.

Nie ma co liczyć na to, że urbanizacja nadąży, że zmieszczą się nowi jak i starzy bohaterowie, ci spod Monte Cassino i Oki, Sikorski i Wałęsa, Anders i Geremek, bo przecież nie wypada ozdabiać takimi nazwiskami peryferyjnych zaułków, ulicznych przeskoków, jakiegoś mrowiskowca udającego całą ulicę, to muszą być promenady, aleje, trasy wschód — zachód, centra tętniące całodobowym życiem, a jeśli fabryki, to największe, kluczowe; jeśli uczelnie, to najlepsze, ekskluzywne; gdy huty, to nie mniejsze od Lenina: elektrownie, to tylko atomowe; jeśli parki, to narodowe; gdy mleczarnie, to licencyjne giganty.

Historia kołem się toczy i kołem łamie...

MIĘSO: PUSTKA I AGRESJA

Zbigniew Dzięciołek

W PIĄTEK (30.06.89 r.), Okręgowe Przedsiębiorstwo Przemysłu Mięsnego w Lublinie skupiło 66 (słownie: sześćdziesiąt sześć) sztuk bydła i trzody chlewnej. Jeszcze niedawno dzienne dostawy wynosiły około 2000 sztuk. W ciągu kilku tygodni spadła ponad dwukrotnie produkcja mięsa i jego przetworów. Żeby zaspokoić minimum potrzeb mieszkańców miasta, przedsiębiorstwo musiałoby dostarczać na lubelski rynek przynajmniej 70 ton mięsa i wędlin dziennie, a obecne dostawy nie przekraczają nawet 30 ton.

Te liczby mówią, że żadne przedłużenie ważności kartek nic nie zmieni i nie pomoże. Z pustego bowiem — jak nauczał były przywódca — i Salomon nie naleje. Mięsa jest mało i wszystko wskazuje na to, że będzie go coraz mniej. Lublin nie jest wyjątkiem. W całym kraju sklepy mięsne świecą pustkami. Ta sytuacja nie powinna nikogo dziwić, a przynajmniej nie tych, którzy do niej doprowadzili.

Chciałoby się zapytać dlaczego, mając nadal dwa razy więcej ziemi uprawnej na jednego mieszkańca niż kraje wysoko uprzemysłowione, nie możemy sami się wyżywić?

Jeżeli polski przemysł pracuje zaledwie w pięciu procentach na potrzeby wsi, a jednostki takie jak POM-y czy SKR-y zwiększają produkcję maszyn górniczych kosztem obsługi rolnictwa; jeżeli co czwarty gospodarz jest w wieku emerytalnym, a tylko pięć procent z nich nie przekroczyło trzydziestego roku życia; jeżeli ustala się drakońskie podatki, a koszty produkcji przekraczają dochody rolników — to znaczy, że źle się dzieje w państwie polskim.

W ciągu ostatnich siedmiu lat pogłowie bydła w kraju spadło o dwa miliony sztuk! Jesteśmy jedynym krajem na świecie, w którym zmniejszyło się spożycie mleka i jego przetworów. Spadło również spożycie mięsa. W przeliczeniu na jednego mieszkańca zjadamy najmniej mięsa w Europie, po Albanii i Rumunii. Są to skutki nieliczenia się przez dziesięciolecia z potrzebami prawie połowy ludności Polski. Przestańmy się wreszcie oszukiwać, że chłop zawsze sobie jakoś poradzi, że on śpi, a jemu rośnie. Bzdura! Rosną natomiast w zastraszającym tempie połacie ziemi niczyjej. Już teraz zasoby Państwowego Funduszu Ziemi przekroczyły 800 tys. hektarów.

Jeżeli warunki życia i pracy na wsi nie poprawią się natychmiast, powtarzam: natychmiast, to jedynym ratunkiem będą zwiększone zakupy żywności na Zachodzie, a płacić za nią będziemy nie zapłaconymi odsetkami od nie spłaconych długów — jak pisał niedawno w „Tygodniku Kulturalnym" Józef Kuśmierek.

Sprolongowano puste kartki. W pustych sklepach stoją długie kolejki ogarnięte pustką i agresją...

DO CZYTELNIKÓW!

Cieszy nas Wasza reakcja na nasze publikacje. Z zainteresowaniem czytamy Wasze listy; zarówno te, które dotyczą naszych publikacji, jak i te, w których dzielicie się przemyśleniami dotyczącymi spraw nie poruszanych na łamach „Relacji".

Pisząc do nas — pomagacie nam redagować nasz tygodnik, bo zdarza się, że „idziemy śladem listu" bądź publikujemy go, a nade wszystko traktujemy Wasze do nas pisanie jako formę rozmowy, dialogu o naszej i Waszej pracy, o naszych i Waszych poglądach.

Zasoby teczek z polemikami i listami do redakcji, napływającymi z całego kraju, cieszą nas i martwią zarazem, bo przecież szkoda zamykać w teczkach prawdę o ludzkich losach, a ludzkich doznaniach. To trochę tak, jakby w teczce zamknąć człowieka...

Dlatego postanowiliśmy, że dwa kolejne numery „Relacji" (27 i 28) będą wydaniami specjalnymi, złożonymi w dużej mierze z tekstów nadesłanych przez Czytelników „Relacji". Będzie to więc Wasze wydanie pisma, choć przez nas zredagowane. Jeżeli nasz pomysł zyska sobie uznanie — będziemy podobne wydania redagować także w przyszłości.

Zespół „Relacji"

Andrzej W. Pawluczuk. [— — — —] [Ustawa z dn. 31 VII 1981. O kontroli publikacji i widowisk, art. 2, pkt. 2 (Dz. U. nr 20, poz. 99; zm.: 1983, Dz. U. nr 44, poz. 204)]